

## Rozdział 7

Znużona, docieram do polany, do obozowiska. Nie ma ich - Thursena, Norrocka, Karra. Jest tylko Sjóll, wychyla elfią twarzyczkę zza sterty ściółki, którą niesie.

- Wróciłaś - mówi.

- Miałam szlaban - tłumaczę. Co Thursen jej powiedział?

- Szlaban - powtarza, przekrzywia głowę, wsłuchuje się w dźwięk tego słowa. Krzywi się, jakby ugryzła coś zgniłego. Ściółka w jej rękach trzeszczy, gdy odwraca się do mnie tyłem.

- Co robisz? - pytam.

- Nadchodzi zima. Czas ukryć się w jamie.

- Pomóc ci? - Ostrożnie kładę na ziemi kwiaty dla Fabiana. Mogę je później zanieść pod jego drzewo. Nie ma pośpiechu. Już nigdy nie będzie się niecierpliwił, czekając, aż coś mu przyniosę.

Kiwa głową.

- Potrzebna nam ściółka. Sucha.

Schylam się, wpełzam pod najniższe gałęzie, które chronią leśne poszycie przed deszczem. Dłońmi zgarniam ściółkę w szeleszczące pagórki, które zabiera Sjóll. Odchodzi niedaleko, pochyla się, znika w świeżo wykopanej jamie pod korzeniami jeżyn. Przy wejściu leży pagórek świeżej ziemi. Choć ubita, nadal pachnie mokrą rabatką.

- Gdzie Thursen? - pytam, gdy Sjóll wraca po kolejną porcję ściółki.

- Na polowaniu. - Wzrusza ramionami. Uśmiecha się lekko. - Dobrze, że znowu z nimi poluje. Bez niego nie mamy szczęścia. Jest najszybszy z nas. - Puszczą do mnie oko. - Szybszy niż Norrock.

Thursen najszybszy wśród wilków. Powinnam się przerazić, ale w pewnym sensie cieszy mnie, że jest wyjątkowy nie tylko jako człowiek, lecz także jako wilk. Oczyma wyobraźni widzę go na czele stada, jak biegnie smukły, szybki. Zawsze o krok przed innymi. Zabójczy.

Chwileczkę. Nie chcę sobie wyobrażać, jak skacze ofierze do gardła. Jak wygrywa walkę, jak wbija kły w ciało ofiary i odbiera jej życie.

- Norrock i Karr ci nie pomagają? - pytam.

- Są w mieście, zbierają pieniądze.

- Obaj? Bez wilków?

Sjóll się uśmiecha.

- Ależ owszem, Karr jest z wilkiem. Z Norrockiem.

- Dlaczego Norrock nie zebrze jako człowiek? Mielibyście więcej.

- Czasami siedział w centrum handlowym z Jerro albo Krestorem, ale ostatnio nie.

- Czemu nie?

- Tyle ludzi... to źle działa na wilki. Karr z nas wszystkich najbardziej nadaje się do ludzi. Od niedawna jest wilkołakiem. A poza tym nie jest z Berlina, nikt go tu nie zna.

- A pozostałe wilki? Czemu ci nie pomogą? Przecież nie wszystkie polują.

- A niby jak mają nosić ściółkę? W pysku? Niewiele przeniosą.

- Rękami! Przecież mogliby na krótko przybrać ludzką postać. Tutaj nikt ich nie zobaczy. - Teraz już wiem, czemu wtedy Thursen nie czekał na mnie przy latarni, jak obiecał. Norrock coś wyczuwał. Thursen pozostał w lesie jako wilk, bo nie udało mu się w ludzkiej postaci przyjść na umówione spotkanie. Choć mi obiecał, nie mógł na oczach tylu ludzi przemienić się w człowieka.

Sjóll kręci głową.

- Nie przeistoczą się.

- Mam je poprosić? - Tu, w lesie, nie ma obcych, jestem tylko ja.

Sjóll parska śmiechem.

- I co to da? Nawet gdyby cię rozumiały... One nie mogą.

- Jak to? Przecież to ludzie.

- To kiedyś byli ludzie. Dawno już o tym zapomnieli.

- Zapomnieli, jak mieli na imię?

- Zapomnieli wszystko, Luiso. Nie tylko imiona. Ja też nie pamiętam, jak się nazywałam. Sjóll to tylko słowo. Nikt się tak nie nazywa. Ale nadal jestem w stanie przybierać ludzką postać. Pozostali - Jerro, Fath, Rawuhn, Krestor, Lurnak - zapomnieli o wiele więcej. Wszystko, co sprawiało, że byli ludźmi.

- Nie wiesz nawet, jak wyglądają? No wiesz, w prawdziwej, ludzkiej postaci?

- Nie. - Sjóll odchodzi z nową porcją ściółki. Gdy wraca, podejmuje przerwany wątek. - Chociaż nie, Rawuhna raz widziałam. - Uśmiecha się, wpatrzona w dal. - Miał bardzo jasne włosy. Podobno był blondynem.

- Ale nie widziałaś go, zanim wyblakł?

- Nie, dołączył do stada na długo przede mną. Mówił mi Thursen. Thursen go znał. Był tu, gdy zjawił się Rawuhn. Thursen przybył jeszcze przed nim.

I wtedy już wiem. Mam pewność, równie niewzruszoną jak świadomość, że wszyscy kiedyś umrzemy. Także Thursen stanie się wilkiem. Tylko wilkiem. Na zawsze. Już nigdy więcej nie wróci do mnie w ludzkiej postaci. Nigdy więcej nie weźmie mnie w ramiona, nigdy więcej mnie nie pocałuje. Więc to jest ta cena, o której wspominał Thursen. Cena, którą już płaci. Ludzkie życie.

Ile czasu zostało Thursenowi, zastanawiam się. I dopiero gdy Sjóll odpowiada, zdaję sobie sprawę, że wypowiedziałam to na głos.

Wzrusza ramionami.

- Jego czas już dawno minął.

O nie! Teraz, gdy wiem, że jesteśmy dla siebie stworzeni, nieważne, czym jest, ma mnie znowu zostawić? Muszę mieć więcej czasu!

- Ale Thursen nadal może zmieniać się w człowieka! - Przeraza mnie mój głos, piskliwy, z trudem wydobywający się ze ściśniętego gardła.

- Przypomniał sobie, że jest człowiekiem w ostatniej chwili. Dzięki tobie.  
- Sjóll odrzuca zbutwiałą szyszkę. Ciska nią w pień drzewa. Wzdycha. - Nikt więcej nam nie pomoże, musimy same nosić te liście.

Mało brakowało, a w ogóle nie poznałabym Thursena! Nie rozmawiałabym z nim! Nie zaznałabym tego ciepła, które czuję, ilekroć na mnie patrzy!

Cichy głosik w mojej głowie dodaje: Nie poznałabyś go, bo byłabyś martwa. Chciałaś skoczyć, zrobiłabyś to, gdyby nie on. Głosik ma rację. Nie byłoby życia, w którym bym go nie znała.

- A ty, Sjóll? - pytam, bo przecież nie tylko Thursena stracę. - Nie boisz się tego, że przestaniesz istnieć?

- Boję się? - Patrzy na mnie, jakbym zapytała, w jakim kraju mieszkamy.  
- Czyż nie o to właśnie chodzi? Żeby zapomnieć wszystko, co było? Zostawić za sobą zakichane ludzkie życie, nie umierając? Żyć dalej, ale bez strachu? Posłuchaj wilków! Słyszysz, jak cieszą się polowaniem?

Wiatr niesie ich wycie. Wcześniej nie zwracałam na to uwagi. Niech Thursen rozkoszuje się polowaniem, proszę bardzo, ale niech nadal będzie człowiekiem. Dla mnie.

Stracić Thursena? Nie wytrzymuję tej myśli, nie mieści mi się w głowie, jest zbyt ostra, kanciasta, boleśnie obija się o wnętrze czaszki. Znowu mam łzy pod powiekami. Czy można wypłakać wszystkie łzy, żeby, tak jak z wyschniętego źródła, nie płynęły więcej? Rękami ubrudzonymi ziemią sięgam po chusteczkę, wycieram policzki. Staram się nie szlochać głośno, choć płacz dławi mnie w piersi. Oddycham. Powoli, głęboko, aż znowu jestem spokojna. Sjóll była w jamie, wychodzi, dopiero gdy wzięłam się w garść. Widząc moje czerwone oczy, domyśla się zapewne, że płakałam, ale nie pyta dlaczego. No pewnie, że nie. Razem kłękamy i zgarniamy suchą ściółkę.

Jakby na pocieszenie, przez chmury przebija się promyk słońca, odbija się w kolczyku Sjóll. Coś przychodzi mi na myśl.

- Właściwie dlaczego masz ten kolczyk także w wilczej postaci?

Dotyka go.

- To srebro.

- Widzę.

- Nie, nie rozumiesz. Srebro nie ulega przemianie. Wiesz, że podobno tylko srebrnymi kulami można nas zabić? Wszystkie inne pociski, ołów czy żelazo, stają się, podobnie jak ubranie, częścią wilczej postaci.

Z ostatnim naręczem ściółki idę za nią do jamy, którą wilki wykopały w ciągu minionych nocy. Pochyliłam się, przechodzę pod korzeniami jeżyn. To nie jest wilgotna jama. Czuję się niemal jak w gnieździe. Przez cienki dach z ziemi, korzeni i trawy sączy się odrobina światła. Przy takiej ilości miękkiej ściółki jest tu niemal przytulnie. Siadamy obie.

- Więc właściwie jesteście niepokonani - zauważam.

- Jeśli wierzyć starym legendom - tak. - Sjóll podciąga kolana pod brodę. Chciałabym poznać ją lepiej. Muszę się pośpieszyć, zanim na zawsze zmieni się w wilka. Jak Thursen.

- Znasz inne legendy o wilkołakach? - pytam, żeby nie myśleć o tęsknocie za Thursenem. Leżę zagrzebana w szeleszczących bukowych liściach, usiłuję przez szparę w sklepieniu dostrzec niebo. Słyszę samolot, wysoko nad nami. Nie widzę go.

- Nie. - Sjóll odwraca się w moją stronę. - Ale jeśli chcesz, mogę postawić ci karty.

- Umiesz wróżyć z kart?

- Pewnie. Z tarota.

- I zrobisz to dla mnie? Sjóll wzrusza ramionami.

- W przypadku innych to żadna frajda. Jeśli jest ci pisane życie pod postacią wilka, stawianie kart nie ma sensu. Nic wielkiego już się nie wydarzy.

- To nie jest nudne? Przyszłość, jaką mają przed sobą wilki?

- Nic nie rozumiesz! - Wzdycha, zniecierpliwiona. - Nie, nie jest nudna. Jest kojąca. Nudne jest stawianie kart takiej osobie.

W pewnym sensie ją rozumiem. No bo kto takiemu wilkowi złamie serce?

- Uważaj! - Sjóll klęczy, uderza głową w korzeń oblepiony ziemią, cofa się, i po chwili trzyma karty w dłoni. - Znasz już jedną część kart tarota, tak zwane małe arkana. Graliśmy nimi w makao. Ale naprawdę fascynujące są wielkie arkana, karty z ilustracjami. - Rozkłada talię i na ściółkę upada złożony arkusik. Jaśniej w półmroku jamy. Jest brudny i zniszczony, przetarty na rogach, jakby nosiła go przy sobie od dawna. Ile razy wraz z nią stawał się wilkiem?

- Jeśli naprawdę chcesz się dowiedzieć czegoś więcej o legendach o wilkołakach, ta karteczka zainteresuje cię może nawet bardziej niż twoja przyszłość - mówi i z uśmiechem wciska mi arkusik do ręki.

- To dla mnie?

- Mnie już niepotrzebny - mówi i rozkłada barwne karty. - Komu mam go dać? Thursenowi? Wkrótce na zawsze stanie się wilkiem. Norrock mnie wyśmiewa, a Karr jest za młody.

Chcę rozłożyć arkusik.

- Nie tutaj. - Przykrywa moją rękę swoją chłodną, bladą dłonią. - Pozostali się boją.

- Przecież ich tu nie ma - odpowiadam. Ale skoro to dla niej takie ważne, chowam kartkę do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Sjóll się śmieje.

- Ale wkrótce tu będą.

Ma rację. Nad nami, na powierzchni ziemi, rozlegają się hałasy. Trzaskają gałązki. Karr wskakuje jednym susem do jamy, rozpościera ręce i nogi, chce nastraszyć Sjóll. Rozłożone karty rozsypują się jak barwne ptasie stado. Sjóll śmieje się, obejmuje go i mierzwi mu włosy jak młodszemu bratu. Widząc to, z

trudem przetykam ślinę. Tak bardzo chciałabym jeszcze raz dotknąć włosów Fabiana. Nie pamiętam już, jakie były w dotyku. I wciąż nie zniosłam mu kwiatów.

I wtedy zjawia się Thursen. Wszystko inne traci znaczenie, wszystko, gdy w wejściu do jamy widzę jego twarz.

Porusza się tak cicho, że nie słyszałam, kiedy nadszedł. Po głośnych, szybkich krokach Karra słyszałam jedynie szelest ściółki, młodziutki głos Karra, dźwięczny śmiech Sjóll. Żadnych kroków. Choć do jamy zagłąda w ludzkiej postaci, zapewne podszedł tu na wilczych łapach, węsząc w powietrzu. Czy w wilczej postaci wyczuł, że tu jestem? Czy dlatego nie od razu wszedł? Bo nie chciał mnie przerazić?

Nie mogę oderwać od niego wzroku. Jego twarz, pełna mrocznych cieni, otoczona leśnym światłem jak aureolą. Nie, nie przeraża mnie, ale i tak nie wiem, co mam powiedzieć. To nasze pierwsze spotkanie, odkąd wiem, czym jest. Patrzy na mnie, przygląda się bacznie mimo półmroku w jamie. Jakby chciał odczytać moje myśli.

- Wróciłaś - mówi w końcu, jak Sjóll.

Kiwam głową.

Nie wchodzi do jaskini i wiem dlaczego. To, o czym musimy porozmawiać, to tylko nasza sprawa. Nie dzielimy się tym z nikim, nawet z Karrem czy Sjóll. Nie wchodzi do mnie, więc to ja muszę wyjść do niego. Wypelzam z nory, prostuję się, strzepuję liście z nogawek.

Norrock stoi nieco dalej, opiera się o pień sosny. Skrzyżował ręce na piersi. Od dawna tam stoi? Odkąd wrócił razem z Karrem? Wychodzę z jamy. Odrywa się od drzewa i podchodzi do nas.

- Znowu z nami, Luiso? - pyta.

Kiwam głową.

Uśmiechnął się drapieżnie, po swojemu, klepie Thursena po plecach.

- Zmienić cię? - pyta.

No tak, polowanie. Thursen miał gonić zwierzynę, a nie siedzieć przy mnie.

- Tak - odpowiada. Norrock pochyla się do mnie.

- Nie daj się pożreć żywcem! - rzuca w biegu. Jeszcze kilka kroków i las go pochłania.

I zostajemy sami z Thursenem. Odchodzimy kawałek dalej. Staram się spoglądać na niego ukradkiem. Porusza się jak zawsze, jest wyprostowany, szczupły, pełen wewnętrznej siły. Wilczej siły, teraz to wiem. Ma świeżą ziemię na lewym rękawie, strzepuje ją, gdy na nią patrzę. Uśmiechnął się tak niepewnie, jak się czuję.

- Długo cię nie było - mówi.

- Miałam szlaban - odpowiadam.

Kiwa głową. Naprawdę rozumie? A może dla niego to na wpół zapomniane słowo z dawnego życia?

- Myślałem, że już nigdy nie wrócisz.

Wiem, co ma na myśli. Zatrzymuję się. Leśne poszycie jest równie nieruchome jak moje myśli. A jeśli jednocześnie idę i mówię, potykam się co krok.

- Musiałam sobie wszystko przemyśleć. Poukładać w głowie. Ale nie mogłam postąpić inaczej, musiałam wrócić. Nie obchodzi mnie, czym jesteś. Nieważne, co z nami dalej będzie. Bardzo za tobą tęskniłam.

Obejmuje mnie ramieniem. Przyciąga do siebie. - Mnie ciebie też - szepcze. I wtedy, po raz pierwszy odkąd go znam, wydaje się naprawdę szczęśliwy. Promienieje cichą radością jak słońce o poranku.

Odwzajemniam jego blask, odbijam go, rozszczepiam na tysiąc barw. Czuję, jak moja dusza płonie ze szczęścia. Chcę zatrzymać tę chwilę na zawsze. Każda sekunda z Thursenem jest bezcenna. Kiedyś stanie się wilkiem, porzuci mnie, zapomni. Ale jeszcze nie teraz, nie dziś. W tej chwili jest przy mnie. Bardziej niż kiedykolwiek. Jest tak blisko, bo mi zaufał, odsłonił się, powiedział, czym jest. Ta chwila, ten jego uśmiech, jest tym cenniejsza, że przeminie. Jego twarz, jego uśmiech są tak cenne, bo wkrótce znikną na zawsze za pyskiem wilka, którego w sobie nosi.

Stoimy wpatrzni w siebie. Mogłabym zatracić się w jego spojrzeniu. Chcę na zawsze wryć sobie jego obraz w sercu. Delikatnie wyciągam rękę, dotykam jego twarzy. Serce mi wali, coś w mojej piersi zaciska się, gdy czuję pod palcami jego delikatną skórę. Obrysowuję jego kości policzkowe drżącymi palcami, muskam łuki brwiowe. Zamyka oczy. Dotykam jego powiek, cienkich jak papier. Wędruję dalej, odkrywam jego usta. Obrysowuję wyraźną górną wargę i pełną dolną. Nagle otwiera ciemnobrązowe oczy. Patrzy na mnie. Bierze mnie za rękę, kładzie sobie ją na karku. Obejmuje mnie w tali. Pali mnie spojrzeniem, wplata palce w moje włosy. Zamykam oczy, czuję jego bliskość. Jego ramiona wokół mnie, jego oddech na policzku. Należę do niego. Tak powinno być. Całujemy się, jakby to był nasz ostatni pocałunek. Dotykamy się, poznajemy, smakujemy, jakby dzisiaj po raz ostatni ćwierkały ptaki, rosły drzewa, świeciło słońce. Jakby rozpalony meteor, który zniszczy ziemię, już ku niej leciał. Wtulamy się w siebie i chcemy pozostać tak na zawsze. Czas traci znaczenie, rozciąga się i redukuje do ulotnych sekund. Ten pocałunek nie może się skończyć.

A jednak. Las, który zniknął, otacza nas ponownie. Myśliwi wracają, skowycząc. Skaczą radośnie, merdają ogonami... Thursen musi każdego poklepać po grzbiecie - Jerro, Fatha, jasnego Rawuhna, Krestora i Lurnaka. Jako ostatni nadbiega potężny czarny wilk. Biegnie w naszą stronę, swobodnie, nonszalancko. Znika za kępą krzewów i wyłania się po chwili jako Norrock. Pewnie właśnie tak to wyglądało, wtedy, gdy po raz pierwszy zawędrowałam do obozu. Wtedy wilki też nagle zniknęły w zaroślach, a potem, nagle, zjawili się ludzie. Przeobrazili się.

Norrock podchodzi do nas i przybija piątkę z Thursenem. Ze mną też, choć nie za bardzo mi to wychodzi. Jestem ciągle zagubiona. Po raz pierwszy przemiana następuje w mojej obecności, choć nie widziałam jej na własne oczy. Thursen bierze mnie za rękę.

- Chodźmy - mówi cicho. Zostawiamy pozostałych w tyle. Słońce już zaszło, przez drzewa sączą się ostatnie promienie dnia.

- Musiał zrobić to akurat teraz! - złoszczę się.

- Wiesz przecież, że się zmieniamy.

- Tak. - Ale wiedza to jedno. Ale Norrock w wilczej skórze! Jest okropny! Thursen patrzy na mnie i śmieje się cicho.

- Co znowu?

- Twoje oczy. W jednej chwili to przejrzyste błękitne jeziora, w następnej - szarogranatowe, jak burzowe chmury.

Co on opowiada o moich oczach?

- Twoje są o wiele dziwniejsze. Całkiem szare. Jeszcze nigdy takich nie widziałam.

- No pewnie, że nie - odpowiada cicho.

- Dlaczego?

- Bo to nie jest normalny kolor oczu. My, wilkołaki, tracimy kolory. Skóra, włosy, nawet ubranie. Moje oczy były pewnie kiedyś inne.

- Jakie?

Wzrusza ramionami.

- Nie mam pojęcia. Chyba nie były błękitne, skoro teraz są takie ciemne.

- Nie obchodzi cię to?

Wbija wzrok w ziemię, jakby leśna dróżka, którą idziemy, nagle stała się nie do przebycia. Zwleka z odpowiedzią. - Nie.

- Ale dlaczego nie?

W końcu na mnie patrzy.

- Nie jestem tu chyba bez powodu, prawda? Nie przystałem do stada dla zabawy. Wiesz, że nadal pamiętam, przed czym uciekali inni, gdy do nas dołączyli?

- Rawuhn?

- Złamane serce. Jego dziewczyna wybrała innego. Nie mógł się z tym pogodzić. Z Karrem było gorzej.

- A co?

- Był prześladowany w szkole. - Thursen zrywa liść z drzewa, kruszy go między palcami, upuszcza kawałki po jednym i mówi dalej: - Wszystko, co chcesz, do wyboru, do koloru. Drwili z niego, chowali mu rzeczy, obrażali, pisali bzdury w internecie, niszczyli prace domowe, bili. Do tego nauczyciele, którzy udają, że niczego nie widzą, i rodzice, którzy wstydzą się za syna fajtlapę i każą mu wziąć się w garść i zacząć się bronić. Domyślasz się.

- No.

- Miał rude włosy i zielone oczy, tak przy okazji. Thursen bierze w dłoń kosmyk moich włosów, owija sobie wokół palca. Uśmiecha się do mnie.

- Podobają mi się twoje niebieskie oczy. I dopilnuję, żeby takie zostały.

Wiem, co chce przez to powiedzieć: Nie przemieniaj się. Bądź człowiekiem.

W myślach dopowiadam sobie coś, czego nie ubrał w słowa: a gdy pewnego dnia stanę się wilkiem, pozwól mi odejść.

Potem stajemy razem na brzegu jeziora. Które to? Krumme Lanke? Schlachtensee? nie, coś mniejszego. Czyli Pechsee albo Teufelssee. Nie wiem, gdzie jestem. Ale kto trafi za Thursenem?

Podoba mi się gładka jak lustro powierzchnia jeziora. Wieczorna mgła gromadzi się nad wodą, zakrada się cienkim mlecznym welonem na brzeg. Mgła, las i Thursen. Tu jest moje miejsce. Także szare oczy Thursena wpatrują się w wodę. Obserwujemy wodne ptactwo. Łyski kłócą się o źdźbło trawy, ale żadna z nich go nie zabiera. Krzyżówki nurkują na zmianę, co chwila w powietrzu pojawia się inny kuper. Robię krok do przodu i płoszę kaczorka z zielonym łebkiem. Pospiesznie ucieka do wody. Słyszę, jak z pluskiem do niej wchodzi.

Podchodzę do pnia przy brzegu.

- Opowiedz coś o sobie - proszę i siadam.

- Ale co? - pyta. Stoi o kilka kroków ode mnie, na brzegu jeziora.

- Cokolwiek.

- Nic nie pamiętam. Nie wierzę.

- Rodzice? Rodzeństwo? Szkoła? Przecząco kręci głową. Ostrożnie pytam dalej:

- Ile masz lat?

- Czy to ważne? - Patrzy gdzieś w dal, w punkt, który należy tylko do niego. Nigdy tam nie dotrę.

Pyta, czy to ważne, ile ma lat. Nie, właściwie nie. A z drugiej strony, to bardzo ważne, bo dotyczy jego. A wszystko, co jego dotyczy, jest dla mnie bardzo ważne.

- Nic już nie pamiętasz? - pytam błagalnie. - Nic a nic? Powoli wraca wzrokiem z oddali, odwraca głowę, uśmiecha się.

- No cóż, mam coś. - W końcu podchodzi do mnie, siada na pniu. Sięga do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjmuje stare zdjęcie. Czarno-białe, trochę większe niż karty Sjóll, odrobinę pogniecione. Podaje mi fotografię, żebym mogła ją obejrzeć. Domek jednorodzinny, dwupiętrowy, po prawej stronie. Przy ulicy stoi samochód, jasny, stary model opla. Ma otwarte drzwi. Przy samochodzie - tekturowe pudło, takie, jakich używa się przy przeprowadzkach. Przy furtce stoi roześmiany chłopczyk.

- To ty? - pytam.



- Luisa. - Thursen wzdycha. - Niby skąd mam to wiedzieć? Mam to zdjęcie, więc zapewne mnie dotyczy. Może to ja, a może to mój przyjaciel? Krewny?

- Mam pomysł. - Milczy. - Nie jesteś ciekaw? Uśmiecha się niepewnie.

- Odrobinę.

- Poszukamy tego domu! Potem odnajdziemy rodzinę, która w nim mieszkała, gdy zrobiono to zdjęcie. Na pewno cię znali, w przeciwnym wypadku nie miałbyś tej fotografii. I może tym sposobem dowiemy się czegoś o tobie.

- A jeśli prawda nie przypadnie ci do gustu? Może zrobiłem coś okropnego? Albo to mnie spotkało coś strasznego? Wiesz, ile trwało, zanim Sjóll przestała krzyczeć w nocy?

Setki razy powtarzaliśmy jej, że tu, w lesie, ojczym jej nie znajdzie. Dopiero w miarę upływu czasu stała się spokojniejsza. - Krzywi się. - Bardziej wilcza.

Oglądam dokładnie fotografię z obu stron. Nic, żadnej daty, nazwiska, nic.

- Wtedy damy sobie spokój. Kiedy uznasz, że posuwamy się za daleko, przestaniemy.

Kiwa głową, ale nie jest do końca uspokojony. Wyjmuję komórkę i starannie fotografuję zdjęcie.

Budzi się we mnie nadzieja, że gdy już znajdziemy ten dom, Thursen coś sobie przypomni, jakiś drobiazg z przeszłości. Że powstrzymam zapomnienie, że dłużej będzie człowiekiem. Że czeka nas więcej dni takich jak ten. Cudownych dni, gdy jesteśmy razem. Nadzieja wzrasta, rozkwita, zagłusza wątpliwości.

Znalazłam pierwszą wskazówkę.

- To tutaj, w Berlinie! - krzyczę radośnie. - Popatrz na tablicę rejestracyjną. Zakrywa ją pudło, ale na początku widać wyraźnie literę B! - Jestem z siebie dumna. Czekam, aż mnie pochwali.

Nie robi tego.

- Berlin... - wzdycha. - Tak blisko.

Ściskam jego dłoń.

- Wtedy obiecałam ci coś, co było dla ciebie ważne, a mnie przerażało. Obiecałam, że nie skoczę z wieży, i dotrzymałam słowa. Nadal żyję. Teraz ty musisz mi obiecać, że będziesz szukał razem ze mną.

Kiwa głową. Całuje mnie. Stykamy się czołami. Widzę, że spoważniał. Żałuję, że nie cieszy się razem ze mną. Kiedyś zrozumie, co dostaje wraz z przeszłością. Kiedyś doceni wartość korzeni. Na pewno.

## Rozdział 8

Następnego ranka budzę się na długo przed tym, nim zadzwoni budzik rodziców. Na dworze, za oknem, jeszcze panuje noc. Wstaję, poznaję po krokach, że mama cicho idzie do łazienki. Gaszę światło. Uciekam z powrotem pod kołdrę, aż zrobi się cicho. Nie wchodzę pod prysznic, myję się tylko pobieżnie. Cicho, żeby nie hałasować. Wpycham plecak do szafy, żeby nie od razu było jasne, że poszłam na wagary. Dzisiaj potrzebny mi będzie tylko bilet miesięczny. Otwieram drzwi mojego pokoju. Słyszę, jak ojciec kaszle w sypialni. Przy świetle latarki wyjmuję kurtkę z szafy. Dopiero na schodach zapalam światło. Cały dom jeszcze śpi. Wychodzę i tym samym zaczynają się poszukiwania przeszłości Thursena.

Na dworze panuje jeszcze nocny chłód. Wiele kroków później przemarznięta stoję na peronie. Sama. Wsiadam do pociągu, zajmuję miejsce na wyściełanym siedzeniu. O tak wczesnej porze pociągi są puste. Mam cały wagon dla siebie. No, prawie. Dwa rzędy przede mną, po drugiej stronie przejścia, siedzi kobieta w kostiumie i w okularach. Zakłada nogę na nogę, pogrążona w lekturze jakiejś broszury. Kołysanie pociągu uspokaja, ale trzaskanie drzwi na każdej stacji drażni jak uparty budzik. To jednak nie przeszkadza bezdomnemu, który śpi smacznie w kącie, tuląc do piersi gazetę. Niby komu chce ją teraz sprzedać? Przesiadam się. Jazda ciągnie się w nieskończoność. Moja twarz odbija się w ciemnej szybie. Moja ludzka twarz. Ciekawe, jak wyglądałabym jako wilk? Na stacjach mój wizerunek rozmywa się w mlecznym świetle. W końcu dojeżdżamy na miejsce. Wysiadam.

W lesie, z dala od alejek, nie ma latarni. Dobrze, że niemal machinalnie kieruję się do wilczego obozowiska, bo w słabym świetle latarki chyba nie odnalazłabym drogi. Rzuca zaledwie słaby blady krążek w porannym półmroku. Dokoła mnie las tętni życiem. To jeszcze czas zwierząt, aż do wschodu słońca. Czas zabieganych myszek i ostatnich sów. Czas dzików, które z przejęciem ryją w ziemi w poszukiwaniu żołądki. Czas ptaków, które śpiewem zaklinają świt. Las nigdy nie zasypia. Także wilki nie śpią. Lurnak wybiega mi na spotkanie, okrąża mnie, gdy zbliżam się do obozowiska, nastawia uszy, jakby myślał, że zdarzyło się coś ważnego. A ludzie - Sjóll, Norrock, Thursen i Karr - ludzie, dla których pory dnia i nocy nic nie znaczą, także nie śpią. Spędzili noc w ludzkiej postaci? A może przeobrazili się, gdy wyczuli, że nadchodzę?

Siedzą w kręgu, jakby przegadali całą noc. Krestor leży między Thursenem i Sjóll, oboje drapią go za uszami. Thursen uśmiecha się, wstaje, dochodzi do mnie. Niechcący świecę mu prosto w oczy.

- Witaj, Luiso - mówi, mruga w świetle latarki i zasłania oczy ręką. Przerażona, wyłączam latarkę i chowam ją do kieszeni. Nie jest zupełnie ciemno, bo pali się prowizoryczna lampa Sjóll, świeczka w słoiku.

- Nie masz szkoły? Sobota dzisiaj? - pyta Sjóll. Przystaje głaskać Krestora. Odchyła głowę do tyłu, patrzy w szare niebo, na którym gasną ostatnie gwiazdy. - Jest jeszcze bardzo wcześnie.

- Nie - odpowiadam. - Dzisiaj nie jest sobota. Thursen obejmuje mnie na powitanie.

- Powinnaś iść do szkoły - zauważa. - To ważne.

- Wagary? - Norrock uśmiecha się krzywo. Przyciąga Krestora za tylną łapę do siebie, aż unoszą się liście, i rozcapierzonymi palcami przeczesuje mu sierść na grzbiecie. Lurnak korzysta z okazji, wciska się w powstałą lukę i ociera łbem o ramię Sjóll.

- To moja sprawa. I jego. - Obejmuję Thursena za szyję. Opieram czoło o jego ramię. - Nie mogę myśleć - szepczę do niego.

Nie muszę mu tłumaczyć, czemu przyszłam.

- Możemy poszukać kiedy indziej - mówi.

- Kiedy?

- Nie wiem. Kiedy jest weekend?

- Dlaczego... - Urywam, przyglądam mu się. - Ty tego nie chcesz.

Wzrusza ramionami. Unika mojego wzroku.

- To nie tak. Wiem, że to dla ciebie bardzo ważne.

Dostrzegam coś w jego twarzy. Słyszę w jego oddechu.

- Ty się boisz.

Przez chwilę stara się uśmiechnąć bez troski, wykrzywia usta, szerzej otwiera oczy. A potem wzdycha, pochyla się nade mną, opiera o mnie.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo - mruczy. Odchodzimy kilka kroków od pozostałych. Tyle, żeby nie mogli nas słyszeć.

- Przecież nie musisz szukać tego domu w ludzkiej postaci - tłumaczę mu.

- Będzie prawie tak, jakbyś szedł przez miasto jako pies Karra. I obiecałam ci przecież, że damy sobie spokój, kiedy będzie za trudno.

- A jeśli wtedy będzie już za późno? Jeśli coś się we mnie obudzi? Coś strasznego, groźnego? Przecież nie wiem, jaką skrywam tajemnicę.

- Tchórz.

- A niby kto uciekł, kiedy wyznałem, że jestem wilkołakiem? Skąd możesz być pewna, czy nadal będzie ci na mnie zależało, gdy poznasz moją przeszłość?

- A wiesz, jak długo możesz pozostać człowiekiem? Jak długo jeszcze będzie cię w ogóle obchodziło, czy mnie na tobie zależy?

- Luisa! - szept.

- Sjóll mi powiedziała. Twój czas już minął. Wkrótce w ogóle nie będziemy mogli nawet rozmawiać, prawda?

Wzdycha.

- Tak.

- No widzisz. Chcę mieć więcej czasu. Przecież musi być jakiś sposób, by powstrzymać to cholerne zapominanie!

Thursen kiwa głową, w końcu akceptuje mój plan. Dzisiaj pójdzie do miasta jako mój pies. Idzie przodem, podchodzi do pozostałych i krótkimi, szybkimi zdaniem tłumaczy, co chcemy zrobić.

Sjóll patrzy na mnie, jakby nie pojmowała, skąd coś takiego przyszło mi do głowy. Norrock znika w zaroślach po prawej stronie. Pewnie ma nas dosyć.

- Muszę przynajmniej spróbować - tłumaczę Sjóll. Przechyla głowę jak zaciekawiony kos.

- Jak chcesz.

- Zapomniałaś o czymś! - woła Norrock i rzuca coś w moją stronę. Odruchowo wyciągam rękę i chwytam pęk rzemieni. Uchylam się, zanim klamra uderzy mnie w twarz.

- Co to ma być? - Złoszczę się.

- W Berlinie obowiązuje nakaz prowadzenia psa na smyczy! - Norrock się śmieje.

Ja nie. Na końcu smyczy dynda obroża, szeroka na dwa palce, nabijana ćwiekami.

- Bardzo zabawne!

- Że co, mam prowadzić Thursena na łańcuchu jak niewolnika? - Już mam odrzucić smycz Norrockowi, najchętniej prosto na szyję.

Ale Thursen chwytą mnie za rękę.

- Norrock ma rację - mówi. - Spory ze mnie pies. - Thursen chwytą mnie za ramiona i odwraca tyłem, jakby chciał się spokojnie przebrać za moimi plecami. - A bez smyczy jeszcze bardziej będziemy zwracać na siebie uwagę.

Nie, nie będzie się przebierał, będzie się przeobrażał. Obawia się, że ten widok przerazi mnie jeszcze bardziej niż sama wiedza, że przechodzi metamorfozę? Słyszę, jak gwałtownie nabiera tchu, a już po chwili jego oddech przechodzi w głośne sapanie.

- No już, gotowe! - krzyczy Norrock. Odwracam się. Wszyscy mnie obserwują, ciekawi, jak zareaguję. To dziwne uczucie stać tak blisko czarnego wilka. Chociaż wiem, że to Thursen, wyczuwam obcość, magię, ale i niepokój, który każe przechodniom trzymać się z dala od tych „psów” i pospiesznie przechodzić na drugą stronę ulicy.

Jeszcze jedno, zanim wyruszymy. Odpinam obrożę od smyczy i oddaję Norrockowi. Niech sam sobie to nosi na tym swoim karku! Nie trafiam, obroża upada na ściółkę u jego stóp. Z uśmiechem kopie ją, podbija, łapie w powietrzu. Zdejmuję chustkę z szyi, wiążę na szyi Thursena w wilczej postaci. Zarzucam sobie smycz na ramię. Po co mi obroża? Jeśli czarny wilk nie zechce iść koło mnie, kawał rzemienia i tak na nic mi się nie przyda.

Wyruszamy. Na satelitarnej mapie miasta znalazłam ulice, na których stoją domy podobne do tych na fotografii Thursena. Mające tyle samo lat, podobnej wielkości. Jest ich wiele, na wielu ulicach, w wielu dzielnicach. Chcę zacząć od zachodu: Staaken, Spandau... Chcę czytać Berlin jak książkę, od lewej do prawej.

Thursen biegnie przede mną, miękko stawia łapy na ziemi. Gdyby nie ja, biegłby pewnie dwa razy szybciej. Czasami wybiega do przodu, a gdy czeka na mnie nieco dalej, czarne futro jest niemal niewidoczne na tle drzew. Wychodzimy z Gruenewaldu na północy, niedaleko stadionu olimpijskiego. Jedziemy autobusem na zachód, przesiadamy się, żeby dotrzeć do Spandau. Wsiadamy - akurat nad dachami złoci się wschodzące słońce. Ulice wypełniają się zabieganymi ludźmi z aktówkami. Pospiesznie idą do pracy. Dzieci z tornistrami na plecach. Pokazuję Thursenowi place zabaw, szkoły, ośrodki sportowe. Węszy, szuka zapachów przeszłości i niczego nie znajduje.

A potem, gdy już przemierzyliśmy niemal całą dzielnicę Spandau, coś się dzieje. A konkretnie - przy szkole, jednym z tych pudełek z czerwonej cegły z lat sześćdziesiątych. Proste ściany, prostokątne okna, płaski dach. Thursen nadstawia uszu, biega w tę i z powrotem wzdłuż metalowego ogrodzenia. Akurat rozległ się dzwonek na przerwę, uczniowie wybiegają na dwór. Thursen węszy, stoi na sztywnych łapach, dygocze. Coś go zaintrygowało, to jasne. Budynek? Uczniowie?

Grupka dzieciaków gra w piłkę. Kozłują, celują do kosza, zagrzewają się do walki. Kilku innych stoi przy ogrodzeniu ze słuchawkami na uszach. Dziewczyna z krzykiem goni chłopaka, który zabrał jej plecak. Chłopak ucieka, wpada w grupę hiphopowców, ale dziewczyna go dogania. Dopada go tuż przed nami, przy ogrodzeniu, wrywa mu plecak i kopie za karę. Chłopak odskakuje ze śmiechem. Przecież to tylko wygłupy.

- Rozpoznajesz coś? - szepczę.

Thursen w wilczej skórze podnosi na mnie wzrok.

- Ale co?

Dalej biega w tę i z powrotem, nie odpowiada. Niby jak? A potem biegnie do głównego wejścia. Grupka starszych uczniów stoi pod betonowym daszkiem. Pałą. Usuwają się, widząc Thursena. Boją się go, choć nie wiedzą, że to wilk.

- Twój pies? - pyta mnie dziewczyna w niebieskiej kurtce. Macha papierosem w powietrzu. - Zabierz go.

- Dobrze - odpowiadam. I wołam: - Thursen, do nogi! - Jak do psa. Nie budzić podejrzeń. I podchodzi do mnie.

- Nie możesz tam wejść - szepczę. - Nie w wilczej skórze! Przez chwilę stoi bez ruchu. Jakby nad czymś myślał.

Potem smętnie zwiesza uszy i ogon i zawraca. Powoli biegnie ulicą, mija samochody, oddala się od szkoły. Od ogrodzenia. Biegnę za nim. Tracę oddech. Tuż przed skrzyżowaniem łapię go za chustkę na szyi.

- Stój! - krzyczę, i dodaję ciszej: - Dokąd się wybierasz? Już rezygnujesz?

Osuwa się na ziemię. Puszczam prowizoryczną obrozę. Układa łeb na wyciągniętych łapach. Nie patrzy na mnie. Stopniowo ogarnia mnie złość.

- Mógłbyś łaskawie przybrać ludzką postać, żebyśmy mogli pogadać? Bo niestety znam tylko język ludzi, nie wilków.

Ani drgnie.

Doszliśmy do parku, po prawej stronie ciągnie się pas zieleni aż do następnej przecznicy. Trawniki, krzaki, drzewa, rabaty.

- No chodź, Thursen! - Chwytam go za futro, potrząsam. Ciągnę za chustkę, chcę, żeby wstał. Przez chwilę nie reaguje, a potem unosi łeb i warczy, nisko, groźnie. Nie puszczam. Jednym ruchem wysuwa łeb z chustki. Patrzy na mnie gniewnie, szczerzy kły. Zaskoczona, cofam się o krok. Cały czas trzymam chustkę w dłoni. Nadal nie mogę się przyzwyczaić do myśli, że ta groźna bestia to Thursen. Ugryzie mnie? Co mi z jego żalu, gdy odzyska ludzką postać? Najpierw będzie ból.

Najwyraźniej mój strach robi na nim większe wrażenie niż wcześniejsze szarpanie za futro. Podchodzi do mnie, szturcha nosem. W pierwszej chwili nie rozumiem, o co mu chodzi. Wtedy delikatnie bierze mnie zębami za rękę, prowadzi przez park do ławki. Siadam i patrzę, jak znika w gęstych ciemnozielonych krzakach. Przemieni się? Bawię się chustką. Zgniatam ją, wypcham do kieszeni. Po chwili rzeczywiście zza krzaka wychodzi Thursen - na dwóch nogach. Upewnia się pospiesznie, że nikt go nie obserwuje, i siada koło mnie na ławce. Pochyla się, opiera łokcie na kolanach.

- Ta szkoła wydaje mi się znajoma - mówi. - Ale nie wiem dlaczego.

- Więc wróćmy tam.

- Luiso... - Pochyla głowę, aż włosy opadają mu na twarz. - Sama powiedziałaś, że nie mogę tam wejść.

- Nie jako wilk, ale jako człowiek - owszem. Wiesz, w szkole nastolatki nie budzą większego zdziwienia.

Wstaję, wyciągam do niego rękę. Podnosi na mnie wzrok, przyjmuje moją dłoń. Choć idziemy ramię w ramię, tym razem to ja prowadzę, a on niepewnie idzie za mną. Jakby znajdował się na wrogim terenie.

Zawracamy, znowu mijamy samochody i ogrodzenie, wbiegamy po betonowych schodkach pod zadaszenie. Dziewczyny z papierosem już nie ma, ale inni uczniowie przyglądają się nam ciekawie. Wiedzą, że to nie nasza szkoła? Nikt się do nas nie odzywa, ale między sobą wymieniają pytające spojrzenia. Odsuwają się pod ścianę, gdy wchodzimy. A przecież Thursen teraz wcale nie jest niebezpieczny. Wbijają wzrok w podłogę, chyba niczego nie zauważa. Odrobinę za mocno ściska moją dłoń. Nie śmiem go puścić z obawy, że zmieni zdanie, odwróci się i ucieknie. Ale gdy wchodzimy do szkoły przez ciężkie, przeszklone drzwi, uznaję, że mniej zwracamy na siebie uwagę, idąc swobodnie obok siebie, a nie kurczowo ściskając się za rękę.

Thursen zostaje z tyłu. Zdecydowanym krokiem wchodzę po schodach. Na stopniach siedzą chłopcy, wpatrujący się w swoje telefony komórkowe. Grają. Zerkają na nas, gdy ich mijamy, ale nie tak długo, by stracić choćby punkt w grze.

Gdy jesteśmy na pierwszym piętrze, rozlega się dzwonek na lekcję. Słyszymy hałas i krzyk, gdy uczniowie wracają do budynku. Ci, którzy mają lekcje wyżej, mijają nas w pośpiechu. Thursen ogląda obrazki uczniów na

ścianach między drzwiami do poszczególnych sal lekcyjnych, ale przy żadnym nie zatrzymuje się dłużej. Ja podchodzę do okna, przywieram do żeberk kaloryfera i obserwuję. Tu, w szkolnym korytarzu, w drażniącej mieszance światła dziennego i sztucznego, wszystkie różnice między Thursenem a jego rówieśnikami stają się niemal komiczne. Przy nim ich ciuchy wydają się idiotycznie kolorowe, a ich twarze groteskowo pomalowane. Ale największą różnicę widać w chodzie: nikt nie porusza się tak miękko, elegancko, z takim zwierzęcym wdziękiem jak Thursen. Przy nim uczniowie wyglądają jak roboty.

A potem rozlega się drugi dzwonek i uczniowie znikają w klasach. Idziemy do pomieszczeń po drugiej stronie schodów. Korytarze są puste. Mamy całą szkołę dla siebie.

Pomyłka. Z naprzeciwka nadchodzi nauczycielka z wypchaną teczką pod pachą.

- Nie macie lekcji? - pyta. Zatrzymuje się, przygląda nam, czeka na odpowiedź. Kątem oka widzę, że Thursen dygocze. Jest blady, jeszcze bledszy niż zazwyczaj. Ma rozbiegany wzrok, błądzi nim po ścianach korytarza. Na jego twarzy jest jakby mroczny cień, który powoli rozprzestrzenia się z dołu, od strony szyi. Przed chwilą go jeszcze nie było.

- Nie, mamy okienko - odpowiadam. Mam nadzieję, że brzmi to wiarygodnie. Oby nie zauważyła, że nie mamy plecaków. I zdarza się cud, nauczycielka idzie dalej.

Ledwie znika nam z oczu, jeszcze słyszę stukanie jej obcasów na schodach, a Thursen chwytą mnie za ramię, ciągnie korytarzem i wpycha do małego kantorka. Zamyka za nami drzwi, opiera się o ścianę. W pomieszczeniu pachnie kredą, starymi książkami i rzadkim wietrzeniem. Thursen sapie, jakby przed chwilą gonił zwierzynę w lesie. Nie, raczej jakby to on był zwierzyną na polowaniu. Zamyka oczy, ukrywa twarz w dłoniach. Odrzuca głowę do tyłu, wpatruje się w sufit.

- Luisa - wzdycha, nie patrząc na mnie. - Nigdy więcej nie każ mi tego robić, dobrze?

Zachowuje się, jakby dopiero co cudem uszedł z życiem. A przecież tylko przeszliśmy się po nieznannej szkole pełnej nieznanymi ludźmi. No dobra, nie jesteśmy uczniami tej szkoły i nie powinno nas tu być. Ja też nie czułam się najlepiej, ale:

- Przecież nic się nie stało!

- Nie widziałaś, jak się na mnie gapili? Wszyscy! Uczniowie i ta nauczycielka!

- Nikt się nie gapił. Zerkali na nas i dalej zajmowali się swoimi sprawami. No bo i czemu nie? Wyglądamy przecież normalnie!

- My? Ty może tak. Spójrz na mnie!

Patrzę. Widzę jego wąską, bladą twarz otoczoną jedwabistymi grafitowymi włosami, widzę oczy, w których kryją się cienie. Często na niego

patrzę, choć o tym nie wie. Nic na to nie poradzę. Jest taki piękny. Czuję, jak moje usta rozciągają się w uśmiechu.

Wzdycha cicho.

- Przez cały czas obawiałem się, że zaraz zobaczą, co ze mną jest nie tak.

- Bałeś się?

Teraz i on się uśmiecha.

- A jak myślisz? - Bierze mnie za rękę, kładzie ją sobie na piersi, pod swetrem, tak, że czuję bicie jego serca. Nerwowy rytm pod jedwabście miękką skórą. Jego mięśnie pod moją dłońią, jego ręka na moich plecach. Moje serce bije teraz równie szybko jak jego, choć nie ze strachu. Uśmiechamy się do siebie. Lekko całuje mnie w usta. Obejmuje mnie wolną ręką. Opieram się o niego, kładę mu głowę na ramieniu i czekam, aż jego serce pod moją dłońią zwolni.

- Teraz przynajmniej wiesz, gdzie chodziłeś do szkoły - szepczę. Przypominam sobie pewność, z jaką zaciągnął mnie do kantorka. Może dawniej przesiadywał tam często i dyskutował z kolegami. Rozglądam się. Zamazana tablica na ścianie. Uchylona szafka - lewe drzwiczki wiszą krzywo na zepsutym zawiasie.

- To nie ta szkoła - szepcze mi do ucha.

- Cholera - odpowiadam szeptem. Pozwalam, by ogarnęła mnie złość, niech zagłuszy łyzy rozczarowania. Uwalniam się z jego ramion.

- Cholera! - Przeklinam i kopię kosz na śmieci.

- Cicho - upomina. Zakrywa mi usta dłońią.

Mam ochotę wrzeszczeć, ale nie mogę. Więc piszę. Biorę kawałek kredy i piszę na wiekowej tablicy. Smaruję duże, kanciaste litery: „Cholera!”.

Na szafce: „cholera”.

Na ścianach, plakatach, stoliku i krześle: „Cholera! Cholera! Cholera! Cholera!”.

Już mi lepiej. Nie myśleć. Od razu dalej, do następnej szkoły. Nowa rozgrywka, nowa szansa. Głaszczę go po policzku, uśmiecham się, podchodzę do drzwi. Już kładę rękę na klamce, gdy słyszę jego cichy głos:

- Nie wyjdę stąd.

Co takiego?

- A co chcesz tu robić? - pytam. - Czekać, aż nas zamkną i pod osłoną nocy wykradać się przez okno?

Jesteśmy na piętrze, wysoko, co najmniej pięć metrów nad ziemią. Ale nie, tak wygląda przez okno, jakby poważnie brał to pod uwagę.

- Nie zamkną nas. Nauczyciele sprawdzą, czy nikt nie został. A wtedy nas przyłapią, zabiorą do gabinetu dyrektora i zaczną pytać.

Wzdycha.

- O, nie!

- No to chodź. Na co czekasz? Są lekcje, na korytarzach nikogo nie ma.



Kiwa głową. A potem energicznie naciska klamkę i pierwszy wychodzi na korytarz.

Powoli, spokojnie, tak dyskretnie, że już to niemal zwraca na nas uwagę, skradamy się po schodach. Drzwi zamykają się za nami. Thursen jednym susem zeskakuje ze stopni na zewnątrz i puszcza się biegiem. Dotrzymuję mu kroku, choć mnie męczy to bardziej niż jego. Biegniemy, skręcamy do parku, Thursen chowa się za gęstym krzakiem i dopiero tam staje. Idę za nim, coraz głębiej w zarośla, aż nikt nie może nas zobaczyć. Zdyszana, ciężko opieram się o jego ramię.

Sięga po moją dłoń. Chce mnie odepchnąć.

- Proszę cię, Luiso. Muszę się przemienić.

- Wiem - odpowiadam, ciągle zdyszana.

- Więc odejdz, proszę! - Widzę, jak drży. - Nie.

- Nie powinnaś tego oglądać. - Wyciąga do mnie drżące ręce. Wygląda jak narkoman na głodzie.

- Dlaczego?

- To nieludzkie. Przerazisz się.

- Przeraża mnie wielki, czarny wilk. Przeczesuje włosy palcami.

- Przecież to ja, wiesz chyba. Dlaczego się boisz?

- Nie zawsze. Ale kiedy na mnie warczysz i szczerzysz kły, owszem. - Głęboko nabieram powietrza. - Zrozum, wolałabym zobaczyć na własne oczy, jak wygląda przemiana, że to naprawdę ty, ten wilk, który idzie obok mnie.

- Dobrze. - Cmoka mnie w policzek. Wzdycha. - Więc patrz.

Patrzemy sobie w oczy. Widzę w jego spojrzeniu wyzwanie. Już nie są antracytowe, stają się żółte. Nie odrywa ode mnie wzroku. Z jego piersi zrywają się cienie, opływają jego twarz, zasnuwają mrokiem. Tak, to rzeczywiście straszne. Ale nie uciekam wzrokiem. Patrzę w żółte wilcze ślepie, a cień staje się sierścią, pokrywa zmieniające się rysy twarzy. Wilk zwinnie opada na cztery łapy, a ja osuwam się na kolana, obejmuję go za szyję. Przytula się do mnie, kładzie mi łeb na ramieniu, mruczy coś do ucha. Tak, to nadal on. Teraz to wyczuwam. Wilk i Thursen to jedno i to samo.

Zawiązuję mu chustkę na szyi. Nie rezygnujemy, odpoczywamy trochę i będziemy szukać dalej. Dzisiaj, jutro, pojutrze. W Berlinie jest tyle szkół, w tylu dzielnicach. Lista którą wydrukowałam z Internetu, ma wiele stron.

Obejrzymy każdą, zaklinam się, co do jednej. I tak co chwila stoimy przed nieznanym budynkiem. Koszmar.

Stoimy poza ogrodzeniem jak ludzie w schronisku, szukający zaginionego kotka. Czekamy, aż uczniowie wyjdą na przerwę, żeby Thursen zobaczył ich twarze. Thursen węszy, szuka znajomych zapachów, ja czekam, ukryta na parkingu, między samochodami nauczycieli. Nic. Znowu nic.

Dzisiaj dzielnica Wedding. Chce mi się płakać ze zmęczenia. Nie tylko nogi mnie bolą; przede wszystkim dokucza mi rozpacz. Thursen w wilczej

skórze, z moją chustką na szyi, zębami ciągnie mnie za małą czerwoną toyotę i w jej demu przeobraża się w człowieka. Z moją chustką na szyi. W końcu.

- Zmęczona? - pyta. Opieram się o niego. Kiwam głową.

- To beznadziejne, prawda?

Głaszczę mnie po włosach.

- Aż tak źle?

- Nie możemy zrezygnować!

- A jeśli już nic nie pamiętam?

- Proszę cię! Nie pamiętasz? To zdaj się na przecucie! Milczy przez chwilę. Zastanawia się nad czymś.

- Ta szkoła wydaje się znajoma - mówi z wahaniem. Podnoszę głowę.

- Naprawdę?

Uśmiecha się z otuchą.

- Aula. Może miałem tam lekcje muzyki, nie wiem.

- Lekcje muzyki? A na jakim instrumencie grałeś?

- Nie pamiętam. Ale była tu aula. Z fortepianem. Na samej górze, schody ciągnęły się bez końca.

Wchodzę do szkoły. Thursen zostaje na zewnątrz. Woli nie wchodzić do budynków. Bezszelestnie przemykam się korytarzami. Trwa lekcja. Wchodzę coraz wyżej, na najwyższą kondygnację. A tam - tylko sekretariat i pokój nauczycielski. Czytam wszystkie tabliczki na drzwiach na niższych piętrach. Schodzę ze znużeniem. Aula jest na parterze.

Wychodzę z budynku. Płoną mi stopy, nogi bolą jeszcze bardziej po wędrowce po schodach. Chce mi się płakać.

- Naprawdę coś sobie przypominasz czy tylko tak mówisz, żebym nie traciła nadziei? - Pytam i ocieram łzy.

Całuje mnie w policzek.

- Och, Luiso. - Przyciąga mnie do siebie. - Chodźmy do domu.

A potem puszcza mnie i chowa się za samochodem, bo widzi nauczycielkę na parkingu. Dwa rzędy od nas szuka czegoś w bagażniku audi. Zamyka bagażnik z głuchym odgłosem. Thursen stoi obok mnie w wilczej postaci. Chustka poniewiera się na masce. Zawiązuję mu ją i ruszamy do obozu.

Gdy schodzimy z alejki w las, zdejmuję mu chustkę. Nie wiem, co się z nią dzieje, gdy zmienia się w człowieka. Chustka zniknie? Mam tylko tę jedną apaszkę. Zakładam ją na szyję. A kiedy znowu podnoszę głowę, u mego boku kroczy człowiek. Nie musi nawet wygładzać płaszcza, odgarnia tylko włosy z czoła. Błyskawicznie zmienia postać. Wydaje się zmęczony, poszarzał na twarzy, w jego oczach zgasł blask. O wiele lepiej czytam z jego ludzkiej twarzy niż z wilczego pyska. Bierze mnie za rękę. Dochodzimy do obozu. Jest pusty.

- Jutro szukamy dalej? - pytam. Nie siadam, jestem tak obolała, że obawiam się, że mogłabym później nie wstać.

Thursen przechodzi kilka kroków, wyjmując butelkę zza kamienia, podaje mi. Plastikowa butelka po coli, pełna wody.

Podnoszę pod światło, oglądam. Przezroczysta, bez odrobiny zielonego osadu.

- Z jeziora?

- No co ty. Z kranu. - Przygląda mi się, gdy piję. - Nie masz już siły. Może zrobimy sobie dzień przerwy? Chociaż jeden?

Krztuszę się.

- Przerwy? - Oddaję mu butelkę, wbijam mu ją w pierś, aż woda się rozpryskuje, rozlewa na jego koszuli ciemną plamą. - Każdego ranka, gdy się budzę, myślę sobie, że poprzedni dzień może się okazać naszym ostatnim. Za każdym razem boję się, że tu przyjdę i przywita mnie wilk. Nie ty. Tylko głupi zwierzak. Że już nigdy się do mnie nie odezwiesz. Że mnie nie obejmiesz. A ty pytasz, czy chcę zrobić sobie dzień przerwy?

- A jeśli coś znajdziemy? Nawet jeśli na pewien czas zatrzyma to zapominanie, nie na zawsze.

- Może zyskamy kilka tygodni.

- Robisz to wszystko dla kilku tygodni?

Kiwam głową.

- Walczę o każdy dzień z tobą.

Odstawia butelkę, obejmuje mnie, przyciąga do siebie.

- Luiso - szepcze. - Luiso. - Całuje mnie.

Wyruszasz w drogę powrotną. Mam wrażenie, że mam nogi z drewna. Z trudem zachowuję równowagę. Z wysiłkiem stawiam krok za krokiem. Thursen ma rację. Nie mam siły. Ale jutro, jutro jest przecież nowy dzień.

Nie odeszłam daleko, a słyszę za sobą kroki, szybkie, miękkie. Szelest w ściółce, trzask trawy. Sjóll biegnie za mną, łapie mnie za ramię, zatrzymuje mnie... Przecież i tak poczekałabym.

- Co to ma znaczyć, Luiso? - pyta.

Co to ma być? Pytanie? Zarzut? Wiem, że Thursen jej się podoba.

- Zrozum mnie, Sjóll! Tym razem mogę coś zrobić! Szukać! Chodzić! Już nie przyglądam się bezradnie, jak bliska mi osoba odchodzi, jak to było w przypadku mojego brata! Wtedy beczynn timer siedziałam przy jego łóżku i patrzyłam, jak życie ucieka mu przez palce, jak ziarenka piasku.

- Kto tu szuka odpowiedzi? Thursen czy ty? I co właściwie chcesz odnaleźć, Luiso?

- Oczywiście, że on! Przecież musi poznać swoją przeszłość!

- Doprawdy?

W pociągu wracam myślami do tej rozmowy. Może to rzeczywiście ja szukam odpowiedzi, nie Thursen? Może to przeze mnie ciągle uganiamy się po mieście. Czyżby przez cały ten czas, wbrew zdrowemu rozsądkowi, chciałam

znaleźć to, co utraciłam? Dom? Przeszłość? Brata? I grób, który widziałam tylko jeden jedyny raz, w dniu pogrzebu. Jak teraz wygląda? Czy Fabian w ogóle ma nagrobek? A może na grobie nadal leżą żałobne wieńce? I ten jeden, na samym przedzie, z szarfą z najbardziej zakłamanym napisem: „Ukochanemu synkowi rodzice. Nigdy o tobie nie zapomnimy”.

A zajęło im to niecały tydzień. Potem wyjechali, zostawili go i ani razu nie odwiedzili jego grobu.

## Rozdział 9

Ostatnio za mało myślę o Fabianie. Dzisiaj przychodzę później, przynoszę świeże kwiaty pod jego drzewo. Drobnutkie fioletowe astry.

Obrysowuję jego imię, wryte w korze. Nadchodzi Thursen. Człapie nogami, jakby miał podeszwy z ołowiu. Nadal trzymam kwiaty w dłoni, czuję twardość łodyg przez przemiekający papier.

- Cześć - mówię.

- Cześć - odpowiada. Słyszę znużenie w jego głosie.

- Co jest? - pytam. - Jesteś chory? - Przykładam mu dłoń do czoła. Chłodne i gładkie jak polerowane drewno. Czy wilkołaki w ogóle chorują?

Przecząco kręci głową.

- Zmęczony. Szukałem dalej.

- W nocy?

Potwierdza skinieniem. Szare kosmyki opadają na czoło, zakrywają twarz.

- Nie mogę myśleć, gdy dokoła jest tyle ludzi.

- Ale w nocy jest ciemno. Wzrusza ramionami.

- Są latarnie. - No i...

- Daj mi chwilę. - Wydaje się tak szary, jakby nadal otaczały go cienie.

Obejmuje mnie w milczeniu, przez dłuższy czas dotykamy się czołami. Zdaje się zbierać siły. W końcu szepcze: - Wydaje mi się, że chodziłem do szkoły Lovis-Corinth. Kiedy zobaczyłem budynek, wszystko wydało mi się znajome.

- Jak to: znajome?

- Jak film, który widziało się ze sto razy. Nie musisz patrzeć, by wiedzieć, co będzie dalej. Drzwi były zamknięte, ale wiedziałem, jak wygląda wnętrze. Jakiego koloru są ściany. Jak pachnie czyste linoleum, jak skrzypi pod podeszwami butów. Niemal słyszałem dzwonek.

- Nie wymyśliłeś sobie tego? Kręci przecząco głową.

Radość wypełnia mnie jak bańka mydlana. Jednocześnie czuję łyzy pod powiekami. On muska mój policzek wierzchem dłoni, nabiera tchu, całuje mnie. Dotyka ciepłymi ustami. Zdaje się spijać radość z moich warg. Obejmuje go, przekazuję mu moje szczęście. Niech poczuje, jak mi ulżyło. Wydaje mi się, że od jakiegoś czasu coraz szybciej mknę na łyżwach, szybciej, szybciej po lśniącej lodzie, w dół, w przepaść. Ale dzisiaj Thursen sypnął piaskiem. I tak wiem, jak ta jazda się skończy, ale zwalniam. Przynajmniej odrobinę.

Już tylko czuję. Thursen scałowuje łyzy radości. Wplatom mu palce we włosy, przyciągam go do siebie. Głaszczę jego kark, czepiam się jego ramienia.

Rozpoznał szkołę. Teraz wszystko będzie dobrze.

- Pójdziemy tam jutro? - szepczę mu do ucha. - Podczas lekcji? Może ktoś cię rozpozna! Dowiemy się, kim jesteś, i zdjęcie domu nie będzie nam potrzebne!

Przecząco kręci głową.

- Ale dlaczego nie? To najprostszy sposób!

- Nie, Luiso - powtarza. - Nie pójdę tam, bo nie wiem, co mnie tam czeka. Całuję go w policzek. Dodaję odwagi.

- Niespodzianka!

Chwyta mnie za ramiona, odsuwa od siebie, tak, że patrzę mu w oczy.

- Jak to sobie wyobrażasz? Że wejść do pokoju nauczycielskiego i zapytam, czy ktoś mnie przypadkiem pamięta? Bo ja siebie nie? A jeśli ktoś mnie rozpozna? Co wtedy? A jeśli mam powód, żeby ukrywać się w lesie? Powiedziałaś, że przerwiemy, gdy odkryję coś, co mi się nie spodoba. Ale jak wtedy zdołam przerwać?

- Możesz tam po prostu pójść! Porozmawiasz chwilę, powiesz, że to taki żart i znikniesz.

- Prawdopodobnie nie jestem jeszcze pełnoletni. A wtedy najpewniej wezwą policję. Luiso, zrobią ze mną, co tylko zechcą! Jeśli ktoś mnie rozpozna, zaprowadzą mnie do rodziców, do domu dziecka albo do poprawczaka, sam już nie wiem! - Kładzie mi głowę na ramieniu. - Nie, Luiso - wzdycha. - Nie możesz tego ode mnie wymagać.

Obejmujemy się. Milczymy. Zamykam oczy, czuję jego spokojny oddech na dłoniach. Zatacza się nagle. Unoszę powieki. Patrzę na niego. Ma współprzymknięte oczy. Jest tak wyczerpany, że z trudem trzyma się na nogach.

- Idź spać - szepczę.

Przeciera twarz dłonią, kiwa głową, znika w jamie. Wyobrażam sobie, jak w wilczej postaci zwija się w kłębek, ciepły, kudłaty. Zostaję tutaj, przy drzewie Fabiana. Nie chcę mu przeszkadzać.

Podnoszę kwiaty dla brata. Odwijam z papieru. Thursen mówi, że pamięta dźwięk dzwonka. Ja też pamiętam dźwięk dzwonka w podstawówce, do której chodziliśmy i ja, i Fabian. I malowane przez dzieci plakaty w korytarzu, na których uczniowie żegnali się z Fabianem. Moi rodzice wyjechali z Hamburga, zanim zwiędły kwiaty w żałobnych wieńcach.

Układam astry pod drzewem, jeden po drugim. Podchodzi do mnie Sjóll. Nie zbliża się jak zazwyczaj, ze zwierzęcym wdziękiem, kroczy głośno, gniewnie. Patrzy mi w oczy z wyrzutem.

- Dlaczego mu to robisz? - pyta. Czy tylko mi się zdaje, czy naprawdę dostrzegam w jej ustach błysk wilczych kłów? - Wiesz, że w nocy przepłynął rzekę? Lodowatą. Tylko dlatego, że jeszcze nie byliście w Gatow i Kladow. Dlaczego, Luiso?

W jaki sposób mam jej to wytłumaczyć?

- Chcę mu oddać jego przeszłość. Na pewno poczuje się lepiej, wiedząc, kim jest. Jak się nazywa. Przecież teraz nie ma o niczym pojęcia!

- Wierzysz w to?

- Każdy powinien znać swoją przeszłość - mówię. - Bo z korzeni czerpiemy siłę.

- Z korzeni? Naprawdę? Nieważne, co przy okazji wyjdzie na jaw? - Sjóll z powątpiewaniem unosi brwi. - A wiesz, że Thursen wczoraj włóczył się przez pięć godzin? W nocy? Pięć godzin! I to tylko ze względu na twoje głupie pomysły.

- Ale przynajmniej dzięki temu wiemy, w której dzielnicy mamy szukać dalej!

- Dalej? Chcesz szukać dalej? Nie wystarczy ci jeszcze? Ach, więc o to jej chodzi. Mam zadać sobie pytanie, które z nas tak naprawdę szuka.

- Nie zastanawiałam się nad tym. To nie są moje poszukiwania, tylko jego. Pomagam mu.

- Więc cię o to prosił?

- Sjóll! Nie chcę, żeby o wszystkim zapomniał! Żeby nie mógł więcej z nami rozmawiać! - Znowu mam łzy w oczach, strumieniami spływają mi na policzki. - Mówiłaś, że poznałaś Rawuhna w ludzkiej postaci. Nie chcę, żeby Thursen na zawsze stał się wilkiem jak on! Co ja bez niego zrobię?

Sjóll chce mi odpowiedzieć, ale nie może. Odwraca wykrzywioną gniewem twarz w drugą stronę. Co tam widzi? Co sprawia, że jej oczy zasnuwają się smutkiem?

Nadbiega Karr. Biegnie koślawo, niezdarnie, co chwilę ogląda się przez ramię. Gdzie się podziały jego płynne ruchy? Zazwyczaj porusza się prawie jak Thursen, niemal tanecznym krokiem. Ale w takim stanie jeszcze nigdy go nie widziałam. W szeroko otwartych oczach widać strach. Dygocze na całym ciele. Pozwala, by łzy swobodnie spływały mu po twarzy. Chyba sam nawet nie zauważył, że płacze. Bez słowa patrzy na Sjóll. Dziewczyna odrywa od niego wzrok i wskazuje mi głową kierunek, z którego nadbiegł.

Podążam za jej wzrokiem. Co go tak bardzo przeraziło? Z oddali słyszę śmiech. Grupa uczniów. Obserwuję, jak się przekomarzają, popychają dla żartu, uderzają kijami w drzewa. Niosą kolorowe plecaki. Może to szkolna wycieczka.

- Co... - zaczynam, ale Sjóll przykłada palec do ust. Chwyta Karra za ramię, przyciąga do siebie, obejmuje jak przerażone dziecko. - To nie twoja klasa - szepcze. - Już nie chodzisz do szkoły. To już minęło. Już nikt nie będzie się z ciebie nabijał. Już nikt ci nic nie robi.

Jeszcze przez chwilę stoi nieruchomo, bezradnie zwiesza ramiona, bezwolny jak lalka. A potem ukrywa twarz w dłoniach. Jego barkami wstrząsa szloch. Kuli się w objęciach Sjóll, osuwa się na kolana, klęczy u jej stóp. Sjóll kuca koło niego, gładzi go... po wilczym łbie. Nuci dziwną pieśń o bezkresnych lasach, ciszy, spokoju. Głaszcz go wytrwale, aż jego oddech wyrównuje się i Karr z westchnieniem kładzie łeb na wyciągniętych łapach.

Dopiero wtedy prostuje się, patrzy mi w oczy. Wreszcie mi odpowie. A może jednak nie?

- Popeliłam błąd - mówi.

Z Karrem? Ale co to ma ze mną wspólnego?

- Ten świstek, który ci dałam... masz go jeszcze? Potwierdzam ruchem głowy.

- Leży na moim biurku. Nie czytałam go jeszcze, przepraszam.

- I nie czytaj. Oddaj mi go. Popeliłam błąd, dając ci tę kartkę, powinna przechodzić od wilkołaka do wilkołaka.

Przechowam to, póki nie poznam innego wilka, któremu będę mogła go przekazać. Może dołączy do nas ktoś nowy, nie wiem. Jeśli nikogo nie znajdę, dam go tobie.

Kiwam głową. Uśmiecham się na pożegnanie i powoli zbieram się do domu. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, czuję rozczarowanie, że Sjóll przestaje mi ufać, ale w pewnym sensie ją rozumiem. Naprawdę nie jestem taka jak oni, jak wilki. Zostałam sobą. Nie pozwoliłam na przemianę. Nie zapłaciłam za zapomnienie utratą imienia.

Zostałam sobą, bo Thursen tego chciał. Pozostali nie mieli Thursena, na którym mogli się oprzeć w najczarniejszej godzinie. Ja miałam.

Thursena, który podarował mi drzewo Fabiana. Drzewo, wokół którego ułożyłam drobne jasnioletowe jesienne astry. Łodygi nikną w ściółce. Z daleka widać jedynie fioletowe punkciki. Jakby drzewo płakało.

Później wracam do domu. Jestem sama. Moje kroki niosą się echem po mieszkaniu. Gdzie rodzice? Nieważne. Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Żyję w innym świecie. Z przyzwyczajenia biorę z lodówki coś do jedzenia i włączam telewizor. Podkulam nogi, siadam w fotelu, wbijam zęby w kanapkę z serem, zimniejszą niż kamienie w lesie. Zimną jak ziemia na cmentarzu. Wypływam na wpeł pogryzione kawałki na talerz. Płuczę usta, wypijam szklankę soku. Przynajmniej nie czuje się smaku, trzeba tylko łykać. Telewizor szumi histerycznie. Znowu skaczą po kanałach. Myśli kotłują mi się w głowie, skaczą bezładnie, nie znajdują ujścia. Aż nagle moja dłoń nieruchomieje na pilocie. Jestem na jednym z mało znaczących kanałów. Trwa program o zaginionych dzieciach.

- Również od ponad roku nie dała żadnego znaku życia Marie K. z Bremy - mówi prowadzący. Takim tonem, jakby zapowiadał pogrzeb. Za jego plecami na ekranie pojawia się dziewczęca twarz. Uśmiecha się do mnie. Sjóll? Tak, to Sjóll! Ma inną fryzurę i inne ciuchy. Włosy brązowe, nie czarne. Tak, to na pewno Sjóll. Słowa „Bremeńska policja liczy na jej zeznania” umykają mojej uwadze. To nieważne. Liczy się tylko to, że Sjóll ma imię. Nikt nie nazywa się Sjóll, powiedziała. Pewnie, że nie. Ona nazywa się Marie. Marie z Bremy. Czy jednak Sjóll? Sjóll na zawsze? Czy nie zostało w niej już nic z Marie?

Może pewnego dnia poznam odpowiedzi na te pytania. Ale teraz mam coś innego na głowie: karteczka na biurku. Należy do niej. Wsuwam ją do kieszeni czarnych dżinsów. Nie czytam. Obiecałam przecież. Obiecałam to Sjóll, która ma na imię Marie. I która zapewne wcale nie chce o tym wiedzieć. Która woli na zawsze stać się wilkiem. Ciekawe, czy Karr będzie za nią tęsknił, gdy już na



zawsze zmieni się w wilka. Już nie będzie komu go pocieszać. A może w wilczej postaci pocieszy go skuteczniej? Przecież on także jest jednym z nich.

Wiem jedno: Thursen w wilczej skórze mnie nie utuli. Uzależniłam się od dotyku jego rąk. Od uśmiechu w jego szarych oczach.

Zasypiam z myślą o nim.

Budzę się z myślą o nim.

Z myślą o nim znoszę potulnie wyrzuty rodziców przy śniadaniu. Jak zawsze. Nic nie jem, mówią. Ciągłe nie ma mnie w domu.

Z myślą o nim idę na wagary.

Dzisiaj jest jeden z tych dni, którymi szara, mokra jesień stara się maskować. Wyciąga z lamusa babie lato. Wędruję po kocich łbach w dzielnicy Tegel, na północnym zachodzie miasta, w okolicy, w której znajduje się szkoła Thursena. Słońce zagląda przez jesienne listowie drzew rosnących wzdłuż ulicy. Starsza pani idzie w moją stronę z małym dzieckiem w wózku. Dziewczynka śmieje się radośnie, aż podskakują jej fałdki tłuszczu, wymachuje łapką, w której ściska torebkę z czerstwym pieczywem. Pewnie dla kaczek, bo nieco dalej jest zejście nad jezioro. Ale nie przyszedłam tu, żeby karmić kaczki. Szukam domu. W końcu czteropiętrowe bloki zostają za mną, znajduję się na ulicy domów jednorodzinnych. Wyobrażam sobie Thursena, jak bawił się tu jako dziecko. Uczył jeździć na rowerze. Biegał, rozbijał kolana.

Niełatwo jest się dowiedzieć o nim czegoś więcej. Oczywiście zaczęłam od poszukiwań w internecie. Szkoła Lovis-Corinth. Na jej stronie był adres i fotografia szkoły - bardzo podobna do budynku ze Spandau. Ale nie było zdjęć poszczególnych klas, które pasowałyby rocznikowo do niego. Mimo to przyszedłam tu. Przez jedną cudowną chwilę wyobrażam sobie, że przyszedłam tu po niego. Że zaraz z uśmiechem zbiegnie ze schodów, z plecakiem na ramieniu, ucieszy się na mój widok. W środku rzeczywiście unosi się zapach wosku do podłóg, a linoleum piszczy pod podszewkami moich butów. Zmierzam do sekretariatu. Może jeden z obrazków na ścianach to jego dzieło?

Już mam zapukać do drzwi, chcę porozmawiać z sekretarką, wypytać o mojego pięknego, smutnego Thursena, ale w ostatniej chwili opuszczam uniesioną dłoń. Niby o co mam pytać, skoro nie wiem ani jak się nazywa, ani z którego jest rocznika? Więc zamykam oczy i przez chwilę oddycham jego przeszłością. Dotykam ścian, po których błędziły jego spojrzenia. Rozlega się dzwonek na przerwę. Uciekam, zanim otworzą się drzwi klas i nieznajomi uczniowie zaleją korytarze. Nie ma tu nic, co mogłoby uchylić rąbka jego tajemnicy. A więc jednak muszę szukać dalej, ze zdjęciem domu. Jutro.

Po raz pierwszy od dawna odczuwam coś jakby głód. W piekarni za rogiem kupuję coś do picia i bułeczkę. Jest świeża, pachnąca, chrupiąca. Pytam nawet sprzedawczynię o dom na fotografii w telefonie, ale go nie kojarzy. Kiwam głową. Może jutro będę miała więcej szczęścia i zapytam właściwą

osobę. Gryzę bułkę, żuję, przełykam, a mój żołądek nie protestuje. Zjadłam bułkę. Całą. Jestem z siebie dumna. Wracam na dworzec.

Muszę oddać Sjóll tę karteczkę. I zobaczyć Thursena. To przede wszystkim.

W lesie zastaję same wilki, żadnych ludzi.

- Thursen? - krzyczę. - Sjóll? Karr? Norrock?

Obracam się wokół własnej osi, zaglądam za drzewa, zbliżam się do jamy pod krzakiem jeżyn. Nagle Thursen wyrasta u mojego boku jak spod ziemi. Porusza się bezgłośnie.

Rzucam mu się na szyję, szczęśliwa, że tu jest. Że jeszcze ciągle potrafi przybrać ludzką postać. Cieszę się każdym dniem, w którym staje przede mną i poprawia poły płaszcz. Wyjmuję mu sosnowe igły z włosów. Całuję go, ale nie odwzajemnia pieśczości. Dopiero wtedy patrzę mu w oczy. Znowu zarwał noc? Znowu szukał? Ma przekrwione białka. Nic nie mówi. Nie wita się.

- Co jest? - pytam cicho.

Bez słowa kręci głową. Nadal nic nie mówi. Zapytałabym pozostałych, ale nigdzie nie widzę Karra, Norrocka ani Sjóll. Liczę wilki. Błądzą wzrokiem po zaroślach, wypatruję ciemnych postaci. Są. W wilczej skórze. Nie widzę tylko Sjóll ze srebrnym kolczykiem, Sjóll, która naprawdę ma na imię Marie i której muszę oddać karteczkę.

- Gdzie Sjóll?

Niewłaściwe pytanie. Jeden z wilków, ten pod potężnym bukiem, wyje. Długo, przeciągle, rozpaczliwie. Karr?

- Thursen!

Thursen wpatruje się w dal.

- Popatrz na mnie! - Szarpię go za rękawy płaszcz. - Gdzie jest Sjóll? - krzyczę mu prosto w twarz. W końcu na mnie patrzy. Bierze mnie za rękę. Czuję, że drży, i ja także zaczynam dygotać. Nie dlatego, że jest zimny. Przez jego spojrzenie. Już kiedyś widziałam taki wzrok. W szpitalu. Kiedy Fabianowi postawiono diagnozę.

- Nie. - Słowa mnie dławią. Kręcę głową, żeby najczarniejsze myśli odeszły, żebym mogła znowu logicznie myśleć. Spokojnie! Sjóll zaginęła. Przepadła. Musimy jej szukać. I to natychmiast!

- Gdzie widzieliście ją po raz ostatni? - pytam. Thursen milczy.

- Powiedz coś, do cholery! - wrzeszczę. Pochyla się. Przez jego twarz przemyka mroczny cień. Już wiem, co to oznacza. Nagle jego płaszcz rozwiewa się, wypełnia, jakby sierścią. Czarną sierścią. Wilczą sierścią, która ma złagodzić efekt moich słów.

Boję się. Ale nie jego wilczych kłów, boję się, bo zmienił się i zostawił mnie samą. Bez odpowiedzi. Boję się, bo on się boi.

Powoli oddalam się o kilka kroków i siadam na ziemi. Podciągam kolana, obejmuję je ramionami. Milczę. Czekam. Patrzę. Boję się.

- Wczoraj w nocy poszliśmy na polowanie - zaczyna Thursen tak cicho, że ledwie go słyszę. Stoi w ludzkiej postaci, plecami do mnie. Opiera dłoń o młode drzewo. Czy w ogóle wie, że tu jestem?

- Wytropiliśmy stado dzików, upatryliśmy sobie młodego samca, odcięliśmy go od reszty. Karr był bardzo szybki.

Sjóll, chodzi mi po głowie. Co się stało z Sjóll?

- Nagle rozległ się huk. Padł strzał. Wytropił nas myśliwy. Uznał pewnie, że jesteśmy zdziczałymi psami. My uciekliśmy, w zasięgu strzału był tylko Karr, najbliższej dzika.

I wtedy słyszę inny głos. Zapłakany, udreńczony, nosowy. Karr.

- Nie zauważyłem tego myśliwego! Wiem, że powinienem był uciekać. Ale pochłonęło mnie polowanie. Już mi się wydawało, że niemal sam upoluję nam kolację. Już się cieszyłem, już byłem z siebie dumny.

Thursen wziął się w garść. Podchodzi do mnie, siada, obejmuje mnie ramieniem.

- Myśliwy ponownie złożył się do strzału. Sjóll to dostrzegła. Zawróciła. - Przełyka z trudem. - Skoczyła, znalazła się na linii strzału, zasłoniła sobą Karra. Zginęła na miejscu.

- Gdzie jest teraz?

- Wciągnęliśmy ją w zarośla, żeby myśliwy jej nie znalazł. Kiedy odszedł, wróciliśmy i ją pogrzebaliśmy.

- Gdzie? - Przypomina mi się pogrzeb Fabiana, jasna trumienka w morzu kwiatów. Sjóll na pewno nie ma trumny. - Zakopaliście ją w lesie? Tak po prostu?

- Umarła w lesie! - zauważa Norrock. - Niby gdzie mieliśmy ją pochować, na psim cmentarzu?

Zrywam się na równe nogi. Mam ochotę go uderzyć, nie robię tego tylko dlatego, że w ostatniej chwili dostrzegam w jego oczach rozpacz i tęsknotę za Sjóll.

- Na cmentarzu dla samobójców - odpowiada Thursen.

- Przecież nie popełniła samobójstwa.

Thursen łamie gałązkę na małe kawałeczki. Widzę, że drżą mu ręce.

- To także cmentarz bezimiennych. Znajduje się w środku lasu, na pustkowiu, nieco wyżej w górę rzeki. Od lat już tam nikogo nie chowali. Pochowaliśmy ją pod krzewem, przysypaliśmy grób ściółką, żeby nie rzucał się w oczy. Uwierz mi, nie ona jedna spoczywa tam bez nagrobka!

- Pokażesz mi gdzie?

Kiwa głową. Wstaje. Ociera zamknięte oczy dłonią, zwiesza ramiona. Wzdycha.

- Chodźmy na grób Sjóll.

Karr zaczyna płakać i na moich oczach przemienia się w roztrzęsionego wilka. Przypada do ziemi, dygocze. Sam. Już nie ma Sjóll, która go utuli.

- Idziesz, Norrock? - pytam. Przecząco kręci głową.

- Pójdę sam. Później. Gdy przyjdzie czas.

Thursen bierze mnie za rękę. Idziemy. Jego dłoń jest lodowato zimna. Nie jestem w stanie jej ogrzać.

- Nie musisz iść jako człowiek - mówię.

Puszcza mnie. Nie dziękuje, całuje w policzek, a potem staje się wilkiem. Idziemy razem przez las, nad rzekę, w górę jej biegu, do lekkiego zakola. Thursen unosi pysk, węszy jakby szukał drogi, i idzie przede mną, zbacza ze ścieżki, prowadzi mnie między drzewa.

Podążam jego śladem, aż w końcu stajemy przed wiekowym murem. W pobliżu nie ma żadnego budynku. Thursen wskazuje mi wejście. Pcham ciężką furkę. „Otwarte od 8 do 20”, informuje tabliczka. Zastanawiam się, w jaki sposób wilki przyniosły tu Sjóll. Wyobrażam sobie stado czarnych wilków. W blasku księżycy przeskakują mur. Jeden po drugim, szybko, cicho, jak demony nocy. Thursen szturcha mnie nosem, chce iść dalej. Mijamy zarośnięte groby i omszałe nagrobki. Oto natura odzyskuje umarłych. Kiedy ostatnio ktoś składał tu kwiaty? Thursen biegnie przodem. Nieco na uboczu, niemal pod murem, rośnie rozłożysty krzew. A pod nim widzę to, czego szukam, niewielki pagórek. Gałęzie luźno nad ziemią, i ściółka przemieszana ze świeżą ziemią. Zbyt mały, by kryć ludzkie ciało. A jednak to jest grób Sjóll.

Nadal nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę. Dlaczego nie słychać zgrzytu bramy? Dlaczego Sjóll nie nadchodzi? Dlaczego nie idzie ścieżką tanecznym krokiem i nie patrzy wraz z nami na stare nagrobki? Nie, kiedy myślę o Sjóll, widzę ją w obozowisku. Będzie tam, kiedy wrócimy. Na pewno.

Oszukuję się. Sjóll jest tutaj. Leży u moich stóp, pod ziemią. Martwa.

Thursen od tyłu obejmuje mnie w talii. Nie zauważyłam, kiedy przybrał ludzką postać. Opieram mu głowę na ramieniu i na chwilę zamykam oczy.

Mogła jeszcze żyć. Gdyby nie stała się Sjóll. Przecież Marie K. z Bremy nie zastrzeliłby myśliwy.

- Dlaczego w ogóle zamieszkała z wami w lesie? - pytam.

- Koniecznie chcesz wiedzieć?

Złamałam jedno z niepisanych praw wilków. Idiotka ze mnie.

- Tak, wiem, ty masz swoje problemy, ja swoje. Mnie też to mówiła.

Thursen bawi się moimi włosami, nawija kosmyk na palec i puszcza, aż włosy zwijają się w loczek. Znad mojego ramienia patrzy na krzew.

- Nowy facet jej matki pił. A po pijaku albo je bił, albo dobierał się do Sjóll. W pewnej chwili miała tego dosyć. Po prostu uciekła z domu, wsiadła do pierwszego lepszego samochodu i przyjechała tutaj, do Berlina.

- A w jaki sposób ją znaleźliście?

- W ogóle. To ona do nas przyszła.

- Do lasu?

Śmieje się cicho. Ale nie ma w tym wesołości.

- Nie, w centrum miasta. Norrock siedział z Krestorem, ja z Rawuhnem. Poprosiła Norrocka o papierosa, o skręta z tytoniem, dosiadła się do nas, a gdy zapadł zmrok, po prostu z nami została.

Głos łamie mi się z rozpacz.

- Ale teraz już nigdy nie wróci.

- Podejź do mnie - mówi cicho i odwraca mnie do siebie, dotyka mojego policzka, ściera łzy, ujmuję moją twarz w dłonie i całuje. Zamykam oczy, odchylam głowę do tyłu, gdy dotyka moich ust swoimi. Pocałunek jest jak rozmowa. Miękkimi ustami, bez słów, mówi mi, że rozumie mój ból. Że czuje to samo. Koniuszkiem języka dodaje mi odwagi. Biorę ją chciwie. Odgarnia mi włosy z twarzy, muska moje ramiona, plecy, obejmuje mnie w talii, przyciąga do siebie. Zatracam się w nim, aż rozpacz zostaje daleko w tyle, aż nic nie może mnie zranić. Póki trwa ten pocałunek, póty on jest przy mnie. Chwytam go za barki, przywieram do niego.

Bez tchu odrywamy się od siebie. Patrzymy sobie w oczy. Czy wie, co dla mnie zrobił?

- Dziękuję - szepczę.

- Za co? - Uśmiecha się. Nadal mnie obejmuje. Kładę mu głowę na ramieniu.

- Przez chwilę już tak nie bolało.

Stoimy bez ruchu. Oddycham. Oddycham wiatrem, milczeniem, zapachem Thursena.

- Wracamy - mówi i bierze mnie za rękę.

Wiewiórka ucieka przed nami, uskakuje ze ścieżki, wspina się zwinnie na jodłę. Thursen otwiera furtkę i ponownie jesteśmy w lesie. Brama cmentarna zamyka się za nami ze zgrzytem.

Thursen idzie w ludzkiej postaci, towarzyszy mi w milczeniu. Nie musi nic mówić. Żadne słowa nie będą równie kojące jak jego szorstka dłoń w mojej. Jego ciepła dłoń zaciśnięta na mojej.

Wracamy do obozu. Słońce znika za drzewami. Dzień ustępuje nocy. Malutka cząstka mnie ciągle liczy, że zastaniemy tam Sjóll, że roześmieje się i wszystko okaże się tylko sennym koszmarem. Ale nie, nie ma jej. Oczywiście. Sjóll już nigdy tu nie będzie.

W obozie nie ma żadnych ludzi, same wilki. Patrzą na nas. Wyczuwam ich oczekiwanie. Żaden nie ma srebrnego kolczyka. Łzy palą mnie pod powiekami.

- Czego one chcą? - pytam. Patrzą na ciemne, kudłate sylwetki, mrugam, walczę ze łzami.

- Teraz zaśpiewamy Sjóll naszą pieśń i pożegnamy ją - mówi Thursen ochryple. Kiwa głową w stronę wilków. Daje im znak, by zasiadły w kręgu.

Dziwi mnie, że nadal trzyma mnie za rękę. Jakby to było oczywiste, prowadzi mnie za rękę do kręgu.

- Nie zmienię się, śpiewając z wami? - upewniam się i wierzchem dłoni ocieram łzy. A jeśli się zmienię... czy ból będzie słabszy? Bardziej szary? Mniej określony?

Thursen ściska moją dłoń.

- Nie, jeśli do tego nie dopuścisz.

Nie dopuszczę? O Boże. Już wiem, co oznacza uścisk jego dłoni. Mam walczyć o to, żeby pozostać człowiekiem. O to cierpienie? Fizycznie odczuwam brak Sjóll i Fabiana, jakby wyrwano mi kawałek ciała i zostały otwarte rany. Tak bardzo boją! Czego on ode mnie wymaga!

- Dlaczego? - chlipię.

- Dla mnie. - Pochyla się, szepcze mi cichutko do ucha. A potem klęka obok mnie i zmienia się w wilka. Po drugiej stronie siedzi Karr wpatrzony w pustkę. Nie rusza się, chyba nic do niego nie dociera. Jakby wysoko na niebie widział coś, czego ja nie dostrzegam. Koło niego przycupnął Jerro, wilk z łysym plackiem na grzbiecie, Lurnak, którego poznaję po zmierzwionej sierści na karku, Krestor, Norrock i Fath zamykają krąg.

Zaczynamy śpiewać. Najpierw Thursen, samiec alfa, odchyła głowę do tyłu i wyje. Pozostali włączają się po kolei, nisko, ochryple, aż coraz wyższe dźwięki splatają się w sieć naszej rozpacz. I nagle wtóruję im, łączę się z nimi, staję się jednością. To wspaniałe uczucie poczuć w sobie bezimienny ból i dać mu ujście. Oddychać pełną piersią. Wplatom dłonie w sierść przyjaciół, wyśpiewuję w noc rozpacz bez słów. Łzy płyną mi po twarzy. Nie przemieniam się.

Opłakujemy ją przez całą noc, aż księżyc nas opuści. O świcie ustępuje rozpacz, zastępują ją pustka i znużenie.

Odchodzimy z Thursenem na bok. Zakopuję się w ściółce, w jamie - cała jest teraz dla nas. Pewnie pozostali rozumieją, że po tej nocy musimy być sami. Zresztą grzeją ich wilcze futra, niepotrzebna im jama, nie tak jak mnie, bo nadal jestem tylko Luisą. Układam się na boku, wplatom palce w sierść Thursena, ukrywam twarz na jego piersi. Jego serce bije miarowo, kojąco. Jest tak ciemno, że w jamie nie widzę nawet naszych cieni. Thursen nie śpi, poznaję po jego oddechu. W pewnej chwili odwraca się, prostuje, jego sierść staje się coraz gładza, a potem leżę z policzkiem na jego płaszczu. Głaszcze mnie po głowie.

- Nie powinnaś wracać? - pyta głosem jeszcze ochryłym po wilczym wyciu.

Przełykam z trudem.

- Sjóll nie żyje.

Bawi się moimi włosami.

- Twoi rodzice będą się martwić, jeśli nie wrócisz.

- Moi rodzice? Zawsze tylko rodzice! - Mam tego dosyć! - A może raz kiedyś ja będę najważniejsza? Dopiero co zaczynałyśmy się zaprzyjaźniać z Sjóll. A teraz ona nie żyje! Masz pojęcie, jak to boli?

Nadal mówi spokojnie.

- Oczywiście, że tak. W końcu znalazłem ją dłużej niż ty.

- I co z tego! - Odsuwam się od niego. Układam się na plecach, żeby gestykulować, choć nikt nie widzi ruchu moich dłoni. - Czujesz początek rozpaczki, ale nie idziesz do końca tej drogi. Nie wiesz, jak to jest, kiedy smutek miażdży ci klatkę piersiową. Skąd możesz wiedzieć, jak przytłaczające jest ludzkie cierpienie, skoro uciekasz i kryjesz się w wilczej skórze? Ale ja muszę to wytrzymać, wszystko, do samego końca. Najpierw był Fabi, teraz Sjóll. Dotyka dłonią mojego policzka.

- Tak mi przykro - mówi.

Przykrywam jego dłoń swoją. Zapytać czy nie?

- Dlaczego w kręgu nie chciałeś, żebym przeszła przemianę? Byłoby o wiele łatwiej!

Wzdycha.

- Nieprawda.

- Bo z czasem zatraciłabym całe człowieczeństwo.

- Między innymi.

- Wiesz co? - Ponownie przewracam się na bok, szukam go po omacku. Delikatnie, bo nic nie widzę. Ale tego, co chcę powiedzieć, nie mogę rzucić w pustą ciemność. Muszę czuć pod palcami jego ciepło.

- Wolę być wilkiem z tobą niż człowiekiem sama. Mogę być czymkolwiek, byle się nie rozstawać z tobą.

Sięga po moją dłoń, całuje opuszki palców.

- Luiso, pozostań człowiekiem, proszę.

- A kiedy już całkowicie staniesz się wilkiem? Jak mam to znieść?

- Nie obawiaj się, jeszcze trochę zostanę.

- Przy mnie? Jako człowiek?

Czuję jego dłoń we włosach. Czuły dotyk.

- Dopilnuję, żebyś dotrzymała słowa. Cholerna obietnica.

- Do kiedy?

- Wkrótce już nie będę ci potrzebny.

- Na to sobie jeszcze poczekaasz! Do cholery, Thursen, bez ciebie umrę! - Chwileczkę. Przecież tu nie chodzi tylko o mnie. - A ty? Nie będziesz za mną tęsknił?

Wyczuwam, że oddycha głęboko, jakby zbierał się na odwagę.

- Wilki nie tęsknią.

Prostuję się, chwytam coś po ciemku - podszewkę jego płaszcza. Szarpnię, jakbym chciała wyrwać mu z głowy ponure, głupie myśli.

- Thursen!

- Proszę cię, Luiso! - Odrywa moje dłonie od płaszcza, delikatnie zamyka je w swoich. - W przeszłości popełniłem okropny błąd. Tak, wiem, nie pamiętam. Ale czuję to! Proszę, nie każ mi jeszcze brać na sumienie tego, że staniesz się wilkiem! Proszę.

Dotykamy się czołami.

- Pozwól mi tu dzisiaj zostać na noc. Kiwa głową.

Ziewam. Wcale nie chcę, ale nic nie mogę na to poradzić.

- Śpij, Luiso - szepcze.

- Nie jestem zmęczona - mruczę.

- Owszem, jesteś. - Thursen przyciąga mnie do siebie i zamyka w objęciach. Czuję jego usta na moich, piękne, miękkie, delikatne. Ostatnie, co przechodzi mi przez myśl tej nocy, to świadomość, że muszę powiedzieć mu coś ważnego, coś, dzięki czemu zrozumie, ile dla mnie znaczy.

Śpię głęboko, mocno, bez koszmarów, bo Thursen jest u mojego boku. Budzę się, gdy światło świtu przenika przez płataninę korzeni, zagłada do jamy. Thursen trzyma wilczy łeb na moim brzuchu, patrzy na mnie błyszczącymi ślepiami. Moja dłoń pachnie wilczym futrem, pewnie cały czas trzymałam ją w sierści Thursena. Czepiałam się go kurczowo, żeby rozpacz mnie nie pochłonęła. Teraz jeszcze Sjóll.

Wypęlam na zewnątrz. Jarro i Fath bawią się konarem, wrywają go sobie, powarkują, skomla, uganiają się za nim. Słońce świeci jak w lecie. Dlaczego nie pada? Dlaczego jesień nie oplakuje Sjóll? Wszystko toczy się dalej, jak gdyby nigdy nic! Najpierw Fabian, potem Sjóll.

Thursen wychodzi za mną, zmienia się w człowieka i przeciąga, jakby nadal był w wilczej skórze. Prostuję się, przełykam kulę w gardle, żeby przez ściśniętą krtanią przeszedł głos:

- Chodź - wyciągam do niego rękę. - Jest coś jeszcze, co możemy zrobić dla Sjóll.

Kiwa głową. Po chwili dostrzega, że znowu mam łzy w oczach. Delikatnie odgarnia mi włosy, ujmuję moją twarz w dłonie, jakby była krucha, bezcenna.

- Chodźmy - mówi cicho.

Trzymam go za rękę i prowadzę pod drzewo Fabiana. Palcami wodzę po wrytych w korze literach jego imienia.

- Możesz to zrobić też dla niej? - proszę. - Przecież Sjóll nie ma nagrobka. Sjóll, nie Marie. Umarła jako Sjóll. Jako wilk. Marie nie istniała już od dawna.

Szukamy odpowiedniego drzewa. I znajdujemy je - proste, wąskie, piękne. Drzewo Sjóll. Thursen wyjmuję scyzoryk i zabiera się do pracy. Nie, tym razem Sjóll nie wyjdzie pomiędzy drzew, by nas wyśmiać, że uwierzyliśmy w jej śmierć. By zakończyć naszą pracę swoim dźwięcznym, swiergotliwym śmiechem. Sjóll nie żyje. Thursen zaciska dłoń na rękojęści i przykłada ostrze do kory. Kocham jego dłonie, takie szczupłe i takie silne zarazem.

- Uwielbiała polowania, wiesz? - szepcze.

- Tak. - Nie odrywa wzroku od pnia. - W życiu wilka najbardziej podobały jej się łowy.



- I podczas łowów zginęła. - Piękna śmierć. Czy śmierć ] w ogóle może być piękna? - Dlaczego umierając, nie odzyskała ludzkiej postaci?

- Może chciała umrzeć jako wilk? - Zaciska z wysiłku zęby, rzeźbiąc łuk kolejnej litery. - Może wolała być wilkiem niż człowiekiem?

- Ale czy w chwili śmierci transformacja nie jest automatyczna? Jak w starych legendach...

- Może stare legendy nie są prawdziwe? To tylko stare legendy...

- Ale.... - Teraz czas na najważniejsze pytanie. Pytanie, które nie daje mi spokoju. Uczucie, że mnie zdradzono. - Przecież ona w ogóle nie powinna była umrzeć! Naprawdę uważasz, że pierwszy lepszy myśliwy strzela do dziczatego psa srebrnymi kulami? Bo tylko takie zabijają wilkołaki.

- Och, ta sprawa ze srebrem. - Thursen wzdycha.

- No właśnie.

- Może to działało za czasów muszkietów. Dzisiejsza broń działa o wiele szybciej.

Thursen cofa się o krok i patrzy krytycznie na drzewo, wraca, ponownie kreśli łuki liter w imieniu Sjóll. Odłupuje kawałki kory, żeby odsłonić jasną miazgę.

Norrock nas znalazł, zbliża się powoli. Słyszę, jak pękają gałęzki pod jego stopami, jak szeleści ściółka, w miarę jak nadchodzi.

- Co to ma być?

- Drzewo Sjóll. Dzięki temu nie utracimy jej całkowicie - mówię do nich obu. Zapędziłam się. Zapomniałam właściwie, ale czy koniec końców to nie to samo?

Norrock się krzywi.

- Kolejne takie drzewo. No cóż, jeśli chcecie....

- Coś nowego? - pyta go Thursen. Skończył już, czyści ostrze o połą płaszcz, zamyka i chowa scyzoryk.

Norrock przygląda się nam po kolei. Podchodzi bliżej. Ukradkiem staje koło Thursena, pochyla się, jakby chciał spojrzeć na drzewo i napis z jego perspektywy.

- Jeszcze nie - odpowiada cicho. - Ale dowiem się wszystkiego! - Mruczy coś jeszcze, wydaje mi się, że słyszę słowo: śmierć, ale ścisza głos, tak że niewiele rozumiem.

Thursen kiwa głową. Niemal nie porusza ustami.

- Kto w to wchodzi?

Norrock kładzie mu rękę na ramieniu.

- Wszyscy! To wilcza sprawa.

- Dobrze.

Thursen ponownie zwraca się do mnie, ściera zawziętość z twarzy i bierze mnie za rękę. Przyciąga do siebie. Obejmuje, jakby prosił o wybaczenie, że wilcze sprawy mnie nie dotyczą. Wilcze sprawy i śmierć.

Ma rację. To nie dla mnie.

Obejmuję go. Mocno. Na zawsze, po wsze czasy. Podnosi lewą rękę, dotyka mojej twarzy. Z westchnieniem mruży oczy. Podnosi prawą dłoń, kładzie mi na policzku.

- Co jest? - pytam.

- Nic - odpowiada. Patrzy mi w oczy, aż stopniowo moje myśli zwalniają. Czyżby naprawdę potrafił zatrzymać świat? Jednym gestem, jednym spojrzeniem? Podnoszę rękę, chcę nakryć nią jego dłoń, chcę całkowicie zatracić się w jego dotyku.

Coś jest nie tak. Chwileczkę!

- Jesteś leworęczny! Dlaczego teraz posługujesz się prawą ręką? Rzeźbiłeś imię Sjóll prawą! - Dlatego tak bardzo się przy tym męczył. Dostrzegam coś na jego płaszczu. Wysoko na ramieniu, poniżej barku. Materiał jest uszkodzony. Nie rozerwany. To wygląda jak dziura wypalona papierosem, ale większa.

Dotykam tego miejsca, zanim zdążył się cofnąć.

- Nie, Luiso - syczy. Z bólu?

- Co ci się stało w ramię?

Nie odpowiada, więc sama sprawdzam. Zsuwam z niego płaszcz. Delikatnie, ale to nie wystarczy. Widzę, jak mimo uśmiechu zaciska zęby z bólu. I lewą pięść. Upuszczam płaszcz na ziemię, bo pod materiałem sytuacja wygląda o wiele gorzej. W koszuli także jest dziura, o wiele większa. Jej brzegi są ciemne, zaschnięte. Tym razem nie muszę dotykać, by wiedzieć, co to jest. Krew. Jego krew.

- Do cholery, Thursen! - Dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej? Do tego stopnia pochłonęła mnie śmierć Sjóll?

Odwraca się tyłem, zanim dokładniej przyjrzałam się ranie.

- To nic takiego.

- Thursen, ty krwawisz!

Zdrową ręką gładzi mnie po włosach.

- Już nie.

- Do cholery, powiedz mi natychmiast, jak do tego doszło! Widzę po jego twarzy, że przez chwilę rozważa, czy mnie nie oszukać, nie sprzedać mi kojącego kłamstewka.

- Nie waż się - warczę.

Unosi brwi i jego spojrzenie nabiera twardości. Nie, nie będzie mnie chronił. Czas na prawdę.

- Wyciągałem Sjóll z linii strzału, ale myśliwy wypalił jeszcze raz i nie zdążyłem uskoczyć.

Nagle czuję gorycz w ustach. Muszę przełknąć, inaczej nie mogłabym mówić. A muszę na niego nakrzyczeć. Zasłużył sobie na to.

- Kolejny strzał? Skoczyłeś mu pod lufę?

- Wypchałby Sjóll, gdyby ją dorwał!

- Do cholery, gdyby trafił gdzie indziej, ty też byłbyś martwy!

- Ale żyję! Wszystko jest w porządku!

Za nami rozlega się śmiech. Niski, sarkastyczny śmiech.

- To wcale nie jest śmieszne! - Odwracam się do Norrocka. - Jego rana... dlaczego nikt jej nie opatrzył?

- Może później - zbywa mnie. Wymienia z Thursenem znaczące spojrzenie.

- Później?

Norrock klepie mnie po ramieniu.

- Wyluzuj, co? Przecież już nawet nie krwawi.

Fakt. Może rana wcale nie jest taka głęboka. Może to tylko draśnięcie. Może już naprawdę wszystko będzie dobrze.

Thursen podnosi płaszcz, wsuwa ręce w rękawy. Niezdarnie naciąga płaszcz prawą ręką. Bez mojej pomocy. Zapina go na sobie jak zbroję. Oddałabym wiele, żeby dostrzec, co się za nią kryje.

- Możemy już? - pyta Norrock. Głośno, nie szeptem jak przedtem. Teraz znowu mogę wszystko słyszeć.

Thursen kiwa głową.

- Możecie? Co? - Wodzę pytającym wzrokiem od jednego do drugiego.

Norrock śmieje się głośno.

- Iść na polowanie! Przecież wczoraj szczęście się do nas nie uśmiechnęło!

Na polowanie? Nagle nie mam czym oddychać. Duszę się samą myślą.

- Nie! - Tylko na tyle mnie stać.

- Spokojnie. W Berlinie jest za dużo dzików! Musimy coś z tym zrobić!

Czuję się, jakbym chciała krzyczeć bez powietrza w płucach.

- Nie - sapię. Za żadne skarby nie chcę śpiewać Thursenowi wilczej pieśni.

- Ej, głodny jestem - mruczy Norrock.

- Sjóll. - Walczę o każdy oddech. - Czy Sjóll była pierwsza? Czy była pierwszą, która zginęła na polowaniu?

Norrock wzrusza ramionami.

- Pewnie nie. Niby skąd mam wiedzieć? Ich zapytaj. - Wskazuje wilki w obozie. Jerro, Fath, Krestor. Nikomu nic nie powiedzą.

- Idziemy na polowanie - decyduje Thursen. - Jak zawsze!

- Jeśli teraz pójdziesz na polowanie, idę z wami. Nie zniosę tego dłużej, nie mogę siedzieć tu i zamartwiać się, czy wrócisz, czy nie.

- Proszę cię, Luiso. Nie utrudniaj nam.

- Mówię poważnie, Thursen. Chwilę trwa, zanim mi odpowie.

- Więc odejdz.

- I właśnie to zaraz zrobię! I to na zawsze! Nie chcę wiedzieć, kiedy umrzesz. Nie chcę usłyszeć, że będziesz kolejnym, którego dorwał myśliwy. Chcę po prostu odejść!

- Luiso, jeśli teraz odejdziesz, nie zobaczymy się więcej.

- Tak. Ale jest pewna różnica; nie zobaczę cię, bo odeszłam. Nie dlatego, że nie żyjesz. Jeśli teraz odejdę, mogę się złościć, bo nie jesteś człowiekiem. Mogę sobie myśleć, że wróciłeś z polowania cały i zdrowy, że w wilczej skórze biegiesz przez las i że o mnie zapomniawsz. I z tym sobie poradzę. Ale nie zniosę myśli, że leżysz w ziemi, martwy, zimny, zżerany przez robaki. To jest moja granica. Właśnie to. Właśnie teraz.

Biegnę. Szybko, jakbym chciała wyprzedzić samą siebie, jakbym chciała dopilnować, że się nie zatrzymam. Żeby nie mogła odwrócić się i z płaczem rzucić mi się w ramiona. Bo przecież tym sposobem niczego nie zmienię.

Szmer za moimi plecami. Thursen biegnie za mną, miękko bezgłośnie. Chwilę później trzyma mnie w objęciach. Liczę, że zmienił zdanie, ale nie. Dotykamy się czołami.

- Wróc - prosi.

- Zostań - odpowiadam. Odsuwam go i patrzę mu w oczy. Przecząco kręci głową.

- Jak nie dziś, pójdę jutro. Co to za różnica? - Głaszcze mnie po lewym barku. - Jestem wilkołakiem! Muszę żyć tak jak wilki. Wiedziałaś to, wiedziałaś, jak żyjemy. Zaakceptuj mnie takim, jaki jestem.

- Nie.

- Tym razem naprawdę odejdziesz?

- Tak.

- I nie wrócisz?

- Nie zniosę tego.

Kiwa głową. Głaszcze mnie po policzku.

- Będę nad tobą czuwał, gdziekolwiek będziesz. Odpycham jego dłoń. Chcę odwrócić się na pięcie.

- Nie, jeśli będziesz martwy! Trzyma mnie mocno.

- Luiso, czego ty ode mnie oczekujesz? Nie mogę tak po prostu przestać być wilkołakiem. Nie mogę! Na to jest już za późno!

Odpycham go. Ostatecznie.

- Nie rozumiesz? Mam pewne granice. Właśnie takie Koniec, kropka! - Odrzucam jego dłoń. Choć wyciąga do mnie rękę, chce przyciągnąć mnie do siebie. - Nie, nie całuj mnie! Nie dotykaj! Bo wtedy załamie się tu i teraz. - Na wszelki wypadek odsuwam się o krok. I jeszcze jeden. Niedobrze mi, coś szumi mi w uszach. - Pozwól mi odejść, proszę.

- Luiso! - szepcze. Stoi bezradnie. Zwiesza ramiona, otwiera puste dłonie, chwyta pustkę.

Oboje wiemy, że zaraz odejdę i już nie wrócę. Chcę wszystko jak najdokładniej zapamiętać, na zawsze. Jego wronie włosy, którymi bawi się wiatr i uparcie zasłania nimi jego wąską twarz. Czarny płaszcz, sięgający do połowy łydek. Szczupłe, długie nogi w ciemnych spodniach. Choć stoi na ziemi, wygląda, jakby tracił grunt pod nogami. Jak ja. Widzę to w jego szarych, ołowianych oczach. Nie wytrzymam ani chwili dłużej ich smutku, rozpacz.

- Och, Luiso - wzdycha.

Nie mogę do niego podejść. Po prostu nie mogę. Nie mogę wziąć go w ramiona, nie mogę powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Zresztą już nic nie będzie dobrze. Śmierć Fabiana. Śmierć Sjóll. Z Thursenem wszystko zacznie się od początku, a obolała dusza cierpi jeszcze bardziej.

Jednak nie ma dla nas szansy. Nie zdołamy wykraść odrobiny czasu, póki nieodwołalnie zmieni się w wilka. To wszystko mrzonki. Nie chcę już tracić nikogo więcej.

Thursen opada na ziemię. Siedzi tak przez chwilę, z twarzą w dłoniach, a potem omiata go mroczny cień i pokrywa się futrem. Kolejny moment i czarny wilk odwraca się i długimi susami gna za Norrockiem w las. Na taniec ze śmiercią.

Teraz już wiem, co to znaczy mieć złamane serce. Boli Rozstanie z Thursenem boli tak, jakby przecięto mi klatkę piersiową i serce na dwie połówki.

Czy moje serce wytrzyma do domu, zanim przestanie bić? Pewnie tak. Nie umiera się tak po prostu wtedy, kiedy tego pragniemy. Nie można nawet zemdleć na zawołanie. Życie nie jest takie proste. Także ten ból muszę przetrwać do końca.

Siedzę w S-Bahnie. Pociąg jedzie leniwie, kołysze mnie, trzęsie, jakby mnie trawił. I dobrze. Cholera. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Lurnak, Fath, Jerro, Krestor i Rawuhn mogli kiedyś stanowić część innego, większego stada. Może tylko oni przeżyli.

Dlaczego w Niemczech od tak dawna nie ma wilków? Bo zastrzelono każdego, który przekroczył niemiecką granicę. Każdego. A te, które umknęły myśliwym, ginęły pod kołami samochodów. Wszystkie nie żyją.

Obserwuję domy i drzewa i myślę o Sjóll. Już nigdy nie zapoluje. I już nigdy nie pozna wilkołaka, któremu mogłaby przekazać karteczkę. Karteczkę, którą nadal mam w kieszeni spodni. Teraz, po jej śmierci, mogę to przeczytać.

Wyjmuję świstek. To ta sama kartka, ale nie Sjóll ją zapisała. Dostrzegam kanciaste chłopięce pismo, czarny atrament na poplamionym papierze. Ciekawe, skąd miała tę kartkę. Teraz już nigdy nie poznam odpowiedzi na to pytanie. Nie zapytam jej o to. Czuję pieczenie pod powiekami.

Mija trochę czasu, zanim jestem w stanie czytać. Czy raczej odczytać to, co się da na rozmazanej kartce. Czytam i nie wierzę własnym oczom. Bo to, co przerażało innych, co było dla Sjóll tak ważne, że chciała to przekazać tylko wyjątkowemu wilkołakowi, to wiersz.

## Rozdział 10

HANS UNTERBERG

*W wiejskiej chatce, hen, za miedzą*

*Zakochani młodzi siedzą.*

*Gdy ojca i matki nie ma w obejściu,*

*Cichutko coś szepczą o swoim szczęściu.*

*- Pójdę już, miła, noc już zapada. -*

*Hans Unterberg palto wkłada.*

*- Ależ mój miły, dziś będzie jasno.*

*Przy takim księżycu i gwiazdy gasną.*

*- Marysiu moja, moje kochanie,*

*Serce mi pęknie, gdy coś ci się stanie,*

*Obiecuj więc miła, i słowa dopełnij,*

*Że z domu nie wyjdiesz dziś podczas pełni.*

*I Hans wybiega, i biegnie przez pole,*

*Ale już księżyc widzi go w dole.*

*I księżyc mroczną moc swą objawia;*

*Daremnie Hans silny opór stawia,*

*Bo oto teraz, w blasku księżycy,*

*Wilcze mu futro porasta lica.*

*A Maryś sama w domu struchlała:*

*Lecz to noc tylko. Nie będzie się bała!*

*I zapomniawszy, co przyrzekała,*

*Wybiega z domu, choć pełnia działa.*

*A tam, przed domem, widok straszliwy!*

*Potwór kudłaty, wilkołak żywy,*

*Ryczy i wyje, głośno zawodzi,*

*Szczerzy zębiska, bliżej podchodzi...*

*Maryś truchleje i głośno krzyczy.*

*Głos jej się niesie po nocnej dziczy,*

*Gdy z przerażenia popada w trans:*

*Gdzie Hans Unterberg? Gdzie Hans, mój Hans?*

*Lecz co to? Gdzie potwór i zmora,*

*Gdzie wilcze spojrzenie?*

*Gdzie był wilkołak, Hans patrzy w ziemię.*

*A potem Maryś bierze w objęcia,*

*Dozgonnie wdzięczny za zdjęcie zaklęcia.*

*Bo kto wilkowe imię wykrzyczy,*

*Uwolni biedaka od leśnej dziczy.*

Wiersz! To zapewne kolejna z tych historii, które nie staną się z wiekiem bardziej prawdziwe. I co z tego, że odpisuje się je w wielkiej tajemnicy i przechowuje w ukryciu wśród wilkołaków. Pewnie w tym wierszu jest tyle samo prawdy co w legendzie o srebrnych kulach; tylko srebro zabija wilkołaka, jasne. Sjóll oberwała zwykłą kulką, a jednak nie żyje. A tu, w tej historyjce, usiłują mi wmówić, że wilkołaka można uwolnić od klątwy, nazywając go po imieniu. Wszyscy żyją długo i szczęśliwie, a wilkołak cieszy się, że odzyskał ludzką postać.

Składam ponownie arkusik i wsuwam do kieszeni. Daj spokój, powtarzam sobie, zamknij książkę z bajkami i wracaj do rzeczywistości! Niby jakim cudem imię, zwykłe imię, tysiącrotnie powielane w książce telefonicznej, ma komuś pomóc?

A poza tym co mnie to w ogóle obchodzi? To już nie moja sprawa. Jestem na zewnątrz, jak człowiek obserwujący ryby w akwarium zza szklanej tafli. Już nigdy nie będę częścią wilczej opowieści. To, co się dzieje za szkłem, to już nie moja sprawa.

Był sobie kiedyś pewien Thursen, który był dla mnie najważniejszy na świecie. Teraz złączył się w jedno z lasem, a ja wracam do mojego świata, do miasta i szarego betonu. Mój świat i jego nie pasują do siebie. Nie sposób ich połączyć.

W moim świecie nie ma wilkołaków. Nie ma w nim mowy o wybawieniu za pomocą słowa, jednego, jedyne słowa, którego nie znam. Imienia Thursena.

Nie znam imienia nikogo spośród nich. Nie wiem, jak naprawdę mają na imię Karr czy Norrock, Lurnak czy Jerro. Ich wszystkich tak naprawdę tam nie ma. W mojej głowie stają się snem. Nic już nie ma. Wszystko znika.

Jestem tak zmęczona, że myśli kłębią mi się w głowie bez ładu i składu.

- Uważaj, Luiso! - woła dziecięcy głosik. Lotti wrywa mnie z zadumy przy wejściu do naszego bloku. Pędzi prosto na mnie na kolorowym rowerku. Włosy wymykają się spod kasku, ze strachu szeroko otwiera oczy. Z całej siły ściska obie dłonie na hamulcu ręcznym, ale i tak jedzie za szybko. Wpadłaby na mnie, ale tylne koło ucieka w bok i mała ładuj na ziemi. Leży na chodniku, zaplątana w rower, z tornistrem na plecach. Leży, nieruchoma ze strachu.

- Lotti! - krzyczę. Błyskawicznie podbiegam do niej. Pochylam się nad nią, uwalniam małe ramionka z szelek tornistra, odciągam rower. Teraz może wstać. Gramoli się z trudem, jak żuczek przewrócony na grzbiet. Płacze, pociąga nosem. Na jej policzkach błyszczą łzy.

- Pokaż - mówię, biorę ją za rączkę, odwracam. Ma zdartą skórę i brudne plamy na kolanach. Pewnie też zdarła sobie z nich skórę.

- Chodź, pójdziemy do domu. Anja przyklei ci plaster.

- Luisa! - szlocha Lotti, ale nie dlatego, że tak boli. - Popatrz! - Wskazuje rower. W jednym miejscu odprysł lakier, widać metal ramy. Ma rację. Rower sam nie wyzdrowieje, plaster mu nie pomoże. Wiem coś o tym. Przecież miałam

młodsze go brata, który bawił się i brykał, i przyklejałam mu plastry na chyba wszystkie możliwe części ciała. Wtedy, w dawnych szczęśliwych czasach, gdy zwykły plaster mógł wszystko naprawić. Lotti pociąga nosem, sięgam po chusteczkę, którą znalazłam w kieszeni kurtki. Od śmierci Fabiana zawsze mam przy sobie chusteczki. Łzy nie dają mi spokoju.

Odstawiamy rower na podwórku i idziemy razem f do mieszkania Lotti. Mała kurczowo trzyma się poręczy, człapie krok za krokiem. Idę za nią z tornistrem w garści.

Razem dzwoniemy do drzwi. Anja staje w progu. Z mieszkania dobiega zapach jedzenia. Smażona cebula. Coś skwierczy; może ma patelnię na gazie.

- Wejdźcie - mówi i od razu kuca przy Lotti. Ogląda jej dłonie, całuje. Zamykam za nami drzwi. Odwracam się. Jestem ledwie żywa ze zmęczenia. Stawiam tornister małej na szafce.

- Jak ty wyglądasz? - szepcze Anja. Czyżby z Lotti było gorzej, niż myślałam?

- Spadła z roweru - wyjaśniam i przesuwam tornister.

- Nie Lotti! Ona ma tylko zadrapania. - Anja głaszcze córeczkę po policzku. - Chodzi mi o ciebie, Luiso. Co ci się stało?

- Ale co? - Nie wiem, o co jej chodzi. Przyglądam się sobie. Spodnie i kurtka jak zawsze. No dobra, spodnie są trochę brudne, kurtka też. W końcu spędziłam noc w lesie. Zagrzebana w ściółce.

- Lotti, idź, umyj się. Potem przykleimy plasterki - rozkazuje Anja. - A ty, Luiso, spójrz w lustro.

Patrzę. Koło szafy wisi lustro w drewnianej ramie. A w nim - twarz podobna do mojej. Trochę. Przekrwione, w półprzymknięte oczy w ostrej, niemal białej twarzy. Włosy w strąkach, a w nich - suche liście i gałązki. A policzki? Najwyraźniej wycierałam łzy brudnymi od ziemi rękami, bo mam na twarzy szarobrazowe smugi. Powoli ściągam kurtkę.

- Ja chyba też umyję twarz - mówię. - I przeczeszę włosy. - Słyszę, że mój głos wydaje się niższy, bardziej ochrypły.

- Znowu płakałaś, prawda? - domyśla się Anja. Widzę w lustrze jej odbicie. Świeżutka, różowa, lekko umalowana. Ma naszyjnik z kolorowych paciorków.

- Tak. - Spokojnie kiwam głową. Już nie płaczę. A więc to prawda, jest tak, jak myślałam. Przychodzi taka chwila, kiedy nie ma już w tobie łez. Jestem skorupą, pustą, wypraną z żalu i rozpacz. We mnie już tylko pustynia.

Anja obejmuje mnie serdecznym, matczynym gestem, jak Lotti przed chwilą.

- Chodzi o twojego chłopaka? - pyta.

- Tak. - Stoję przed lustrem i wyjmuję z włosów bukową gałązkę.

- Więc jednak z tobą zerwał - domyśla się.

- Nie. Ja z nim. - Teraz gałązka świerku, zaplątała się tak podle, że muszę ją wyrwać z włosami. Moje włosy zwisają z niej jak z wrzeciona.



- Ty? Myślałam, że...

Przecząco kręcę głową. W końcu odwracam się do niej twarzą.

- Też tak myślałam. Wydawało mi się, że nie poradzę sobie bez niego. Ale jeszcze bardziej nie poradzę sobie ze strachem o niego. Umieram ze strachu, dosłownie.

- Aż tak źle? A co on takiego robi, że tak bardzo się o niego martwisz?

Co mam na to odpowiedzieć? Kręci się pod kulami myśliwych? Jako kudłaty czarny wilk, który wygląda jak zdziczały pies i dlatego wszyscy mogą do niego spokojnie strzelać? Boże, jak mało ma to wspólnego z naszym światem gier komputerowych i segmentów kuchennych. Jak mam wytłumaczyć Anji sprawy, których istnienia sobie nawet nie wyobraża? Jak ma zrozumieć, że Thursen już nie jest człowiekiem? Że jest zarazem człowiekiem i wilkiem?

- Sporty ekstremalne? - pyta. Nadal nie odpowiadam, więc dodaje: - Nie musisz mówić, jeśli nie chcesz.

- Nie, nie ma sprawy. Nie, to nie sport, o nie.

- Łamie prawo? Kradnie samochody? Włamuje się do mieszkań?

- Anja!

- Luiso, nie zrozum mnie źle. Martwię się o siebie. Spałaś wczoraj w domu? Jesteś ledwo żywa. Wpakowałaś się w coś złego? Czym, do cholery, zajmuje się twój chłopak?

- W każdym razie niczym zakazanym. - Chociaż nie wiem przecież, co robił, zanim stał się wilkiem. Nie wiem o nim nic, zupełnie nic.

Anja kładzie mi rękę na barku.

- I nic nie możesz zrobić? - pyta cicho.

- Nie - odpowiadam.

Skwierczenie przybiera na sile, z zapachem cebuli miesza się ostra woń spalenizny.

- Kuchnia! - woła Anja.

Idę do łazienki umyć twarz. Cały czas rozbrzmiewa mi w uszach pytanie Anji. I nic nie możesz zrobić?

Mogłabym. Gdybym oszalała tyle, żeby uwierzyć w wierszowaną historyjkę ze starego świstka. Starego, wyświechtanego świstka, który dostałam od Sjóll. Mogłabym wtedy dowiedzieć się, jak Thursen miał na imię, naprawdę, zawołać go i wtedy nie dość, że wyzwoliłabym go z mocy przekleństwa, ale też zdobyłabym jego dozoną wdzięczność. Nienawidzę legend.

Gdyby to o srebrnych kulach było prawdą, Sjóll żyłaby nadal.

Jestem zmęczona. Bardzo zmęczona.

Lotti czeka pod drzwiami łazienki. Ma plaster na dłoni i, jak się domyślam, na kolanach, pod czystymi spodenkami.

- Zjesz z nami? - mówi. - Proszę, Luiso!

Nie muszę odpowiadać. Podczas gdy zmywałam z twarzy smugi ziemi i wyplątywałam z włosów pamiątki po wilczym lesie, Anja już dla mnie nakryła. Siedzimy w kuchni przy wielkim drewnianym stole. Kiedy ostatnio tu byłam,

piekłyśmy przy nim ciasteczka. Lili siedzi Anji na kolanach i obserwuje mnie. Lotti nalega, żebym usiadła koło niej.

- Chcesz klopsa? - pyta, nie czeka na odpowiedź nakłada mi go paluszkami na talerz.

- Lotti! - krzyczy Anja.

Uśmiecham się. Nie szkodzi. Ale już warzywa nakładam sobie sama, łyżką, na wszelki wypadek. Przez długą chwilę tępo wpatruję się talerz. Bardzo ładny talerz, z niebieskim brzegiem. Naprawdę mam wsadzić sobie do ust to wszystko, co na nim leży? Sztuczce wydają się lodowate w moich dłoniach.

- Spróbuj - namawia Anja i uśmiecha się do mnie. Próbuję. Jeden kęs. Gryzę. Żuję. Przetykam. I jeszcze jeden. Daję radę. Zjadam z talerza wszystko, chociaż miałam na nim mniej niż Lotti. Chyba naprawdę byłam głodna. Wypełnia się mikroskopijna cząstka pustki we mnie. Jedną nogą wracam do życia. Jeszcze nie dwiema, na razie jedną. Może jednak życie potoczy się dalej, a nie - zniknie w czarnym obłoku.

- Może chcesz się wykapać po jedzeniu? - pyta Anja. Sadza mi Lili na kolanach i sprząta ze stołu.

No pewnie, że chcę. I umyję włosy. Uwielbiam ją.

- Bardzo chętnie - odpowiadam.

- Luisa wyglądała jak leśny skrzat - mówi Lotti do mamy. A do mnie dodaje: - Zaraz ci pokażę moją książeczkę o skrzatach.

- Fajnie. Ale najpierw zmyję skrzaty z siebie.

- Masz lekcje do odrobienia, prawda, Lotti? - przypomina Anja i stawia na stole miseczkę z deserem. Kisiel. Pachnie smakowicie, owocami, wiosną, wzrostem. Podnoszę do ust małą łyżeczkę, usiłuję trafić nią do ust, choć akurat teraz Lili złapała mnie za rękę. Jej małe łapki są zadziwiająco silne. Na pewno mam na twarzy czerwone kropki.

- Poczekaj, wezmę ją. - Anja wstaje, obchodzi stół dokoła Lili wyciąga pulchne łapki do mamy. W połowie drogi Anja zatrzymuje się, bo ktoś dzwoni do drzwi. Lili piszczy. Anja idzie do przedpokoju.

Słyszę stłumione głosy, Anji i jakiegoś mężczyzny. Chwileczkę! Znam ten głos! To mój ojciec.

- Pańska córka jest u mnie - mówi Anja.

Teraz słyszę wyraźnie, bo odwróciła się i wraca do kuchni.

- Jak mogłaś mu wszystko powiedzieć? - krzyczę do niej, gdy bierze ode mnie Lili. - Jak mogłaś!

- Nic mu nie powiedziałam, Luiso. - Sadza sobie Lili na biodrze. - Rodzice szukali cię, twój ojciec już chciał iść na policję. Zamartwiali się, zrozum! Nie wróciłaś do domu na noc!

- I znowu wagarowałaś! - dodaje ojciec, za Anją wchodzi do kuchni. Przerazona, podrywam się gwałtownie i miseczka spada ze stołu. Czerwony kisiel zalewa mi spodnie, spływa jak krew, czerwony i gęsty jak krew na ramieniu Thursena.

Jakby myśliwy znowu wystrzelił i znowu trafił. Kawałki szkła pokrywają podłogę.

- Idziemy do domu - mówi ojciec. Z emocji mówi zduszonym głosem.

Dobrze. Idę za nim, a pod moimi nogami zgrzytają szczątki miseczki.

- Przykro mi, Lotti - mówię. Zdejmuję kurtkę z wieszaka. A potem ojciec wyciąga mnie na korytarz. - Wróciła! - oznajmia, jakby własnoręcznie uwolnił zagubioną kotkę z piwnicy sąsiadów. Mama wybiega do przedpokoju ze słuchawką telefoniczną w dłoni. Chce mnie objąć, ale zmienia zdanie, widząc moje pobrudzone, pogniecione ubranie.

- O Boże, Luiso! - wzdycha. Opuszcza wyciągnięte ręce. - Coś ty znowu zrobiła? - Ma łzy w oczach.

- Była na dole - mówi ojciec. Jakby to tłumaczyło mój wygląd.

- Idę się wykapać - informuję.

- Chwileczkę! Jeszcze nie skończyliśmy. Dzwonili ze szkoły. Nie było cię.

- Tak. - Tłumię ziewnięcie, na wszelki wypadek zakrywam usta dłonią.

- Co to ma znaczyć?

- Tak. Nie było mnie w szkole. Sam to powiedziałeś.

- I przez całą noc nie było cię w domu! - Chwyta mnie za ramię, szarpie. - Co, chcesz wylecieć ze szkoły? Twoim zdaniem za mało przeszliśmy?

- Jestem zmęczona i brudna, chcę się wykapać - mamroczę. Chwieję się na nogach, gdy mnie puszcza.

- Jens, daj jej spokój! - woła mama zza chusteczki.

- Ciebie już nic nie obchodzi! - Odwraca się do niej. - Masz wszystko w nosie, proszę bardzo, niech wszystko runie nam na głowy! Ale wiesz, jak to się skończy? Będzie miała kolejne nagany i co potem? Zmarnuje sobie życie! - We trójkę stoimy w dużym pokoju.

Mama pociąga nosem.

- Może ona też już nie daje rady.

Mamo, halo, jestem tutaj! Nie mów tak, jakby mnie tu nie było!

- Powinna chodzić do szkoły - powtarza ojciec. - Uczyć się, odrabiać lekcje. Miałyby zajęcia, mogłaby zapomnieć.

- A może ja nie chcę zapomnieć? - wtrącam się. Zmęczonym palcami odczepiam kawałek drewna, który przyczepił mi się do swetra. - Może pomożecie mi uporać się z problemami, zamiast kazać mi zapomnieć?

- Nie chodzi tylko o ciebie - mówi ojciec, coraz głośniejszym głosem, coraz bardziej czerwony na twarzy. - To co, już nie wolno mi rozmawiać we własnym domu o przyjemnych sprawach, a tylko o problemach? Chcę w końcu znowu normalnie żyć, chodzić na mecze, jeździć na urlop. Ale ty nie możesz nawet chodzić do szkoły. Wszyscy inni mogą, czemu akurat ty nie?

- Może nie wszystkim umarł brat?

Jego dłoń z głośnym trzaskiem ląduje na moim policzku. A z trzaskiem przychodzi palący ból.

- Jens! - piszczy mama. - Jens, jak możesz!

- Ty też cierpisz. Dlaczego nic nie mówisz? Przecież ty też chcesz mieć normalne życie! - Zaciska pięści, opuszcza je z wyraźnym wysiłkiem. - Ale nie, sam muszę o wszystko walczyć.

- Czasami po prostu nie mam już siły.

- Ale ja muszę ją skądś brać. Wiesz, co to znaczy dla mężczyzny pochować jedyne syna?

Nie, nie wiem, myślę sobie i czuję piekący ból policzka. Wiesz, tato, ani razu nie widziałam, jak płaczesz. Ani razu.

- Mój Boże, Jens! - Mama szlocha.

- Nie powinna się tak opuszczać. Jakkolwiek by było, życie toczy się dalej! Przecież ja też muszę jakoś funkcjonować w pracy i nie mogę sobie pozwolić na takie wybryki.

- Funkcjonować? Przecież ty żyjesz tylko pracą, nie dopuszczasz do siebie nic innego. - Ze złością ciska pogniecioną chusteczkę na stolik przy kanapie. - Czy ktoś w twojej nowej pracy w ogóle wie, że straciłeś syna?

- Sprawy prywatne nikogo nie obchodzą. Najważniejsze to dobrze wykonywać swoje obowiązki.

- Nic nikomu nie powiedziałeś? - Mama głośno pociąga nosem. - Nikomu nie wspomniałeś o naszym synku?

- Weź się w garść! - Ojciec układa gazety na stoliku. Starannie. Chusteczki nie dotyka. - Tak już jest. Każdy musi zadbać siebie.

- Tylko o siebie? - Mama szuka czystej chusteczki.

- Tak! Każdy sam! Kogo obchodzi, że czasami potrzebuję chwili dla siebie? Że potrzebuję odpoczynku po tym stresie? Nikogo! Ty w każdym razie mi nie pomagasz!

- Jesteście oboje nienormalni, wiecie o tym? - mrużę pod nosem.

- Wiesz co, Jens? Mnie też nie jest łatwo. Może ja też potrzebuję wsparcia!

- No przecież mówię. Luisa powinna w końcu przestać myśleć tylko o sobie i trochę ci...

- Nie od Luisy! Od ciebie, Jens! Odrobinę wsparcia i zrozumienia. Ale chyba oczekuję zbyt wiele.

- Vereno, nie przesadzaj. Wiesz przecież, że w nowej pracy...

- Oczywiście, Jens, znowu szukasz wymówek. - Uderza otwartą dłońią o stolik. - Ale wiesz co? Daruj sobie spotkanie z agentem! Zadzwoń do niego i odwołaj! - Mama wypluwa poszczególne słowa, a wraz z nimi - kropelki śliny. Podnosi ze stolika kolorową broszurkę. Ciska ją ojcu pod nogi jak rękawiczkę w wyzwaniu na pojedynek. - Nie będzie nam potrzebny. Póki się nie zmienisz, nie zamieszkać z tobą w nowym domu!

Niemal słyszę, jak ojciec zamyka się w sobie. Z jego twarzy niczego nie można wyczytać. Odwraca się na pięcie i wychodzi. Trzask drzwi wejściowych rozlega się prawie w tej samej chwili co trzask drzwi do sypialni, za którymi

ukryła się mama. I oto jestem w dużym pokoju sama. Nagła cisza dzwoni mi w uszach. Otwieram okno, żeby wpuścić do środka trochę hałasu, trochę życia.

Podnoszę broszurkę z odłogi. Nie wiedziałam, że rodzice chcieli kupić dom. Jaki miał być? Przeglądam katalog. Chyba nic z oferty tej agencji. W prospekcie są same pogodne, wesołe domy dla wesołych rodzin. Znajdziemy wam dom, którego szukacie, czytamy na okładce. Wielkimi czerwonymi literami. Smutny też? Zastanawiam się. Dom z mnóstwem miejsca na naszą rozpacz. Rozpacz, którą musimy zabrać ze sobą, bo nie można jej tak po prostu zostawić na wycieraczce.

W końcu idę pod prysznic. Zmywam z siebie leśną ziemię i odrobinę żałoby po Sjóll. Zmywam z siebie opowieści o wilkołakach i wszystko, co ma związek z Thursenem. Wkładam ciuchy do nowej, obcej pralki, później czyste i świeże wieszam na suszarce. Ojciec nie wraca, mama nie wychodzi z sypialni. Spędzam wieczór w pokoju. W nocy śni mi się Thursen.

Na jawie mogę starać się trzymać od niego z daleka, ale nie w snach. Tej nocy dręczy mnie koszmar. Czarny wilk pędzi przez las. Bez celu, bez domu. Szuka czegoś. Mnie. To mnie szuka. Ale nie znajdzie mnie, bo żyjemy w dwóch równoległych światach. Rozdzieleni jak dwie kartki książki. A jednak się dostrzegamy. Biegnie za nim myśliwy z szybkostrzelną strzelbą. Śmiercionośne kule padają gęsto i wiem, że wystarczy, żebym wypowiedziała jedno słowo i go ocala. Sprowadzę do mojego, ludzkiego świata, sprawię, że stanie się człowiekiem i mnie uratuje. Mam je na końcu języka. Jego imię!

Budzę się zlaną potem. Jest piąta nad ranem. Idę do kuchni, piję, usiłuję znowu zasnąć, zapomnieć, że kiedykolwiek znałam jakiegoś Thursena. Nie Thursena ze snu, Thursena, który nie chce być człowiekiem. Odpycham od siebie wilcze troski. Czyż nie o to chodzi? Stać się wilkiem i zapomnieć o wszystkim?

Dzisiaj pójdę do szkoły. Będę normalnie żyć. Dzień w dzień. Nie pamiętam już planu lekcji.

Kiedy rano wychodzę z łazienki, czeka mnie niespodzianka. Mama wręcza mi torbę. Kupiła mi nowe ciuchy. Dżinsy i turkusowy sweterek. Ładne, kolorowe ubranie dla ładnej, wesołej dziewczyny. Dżinsy są sztywne, sweter szorstki. Materiał pachnie obco, zimno. Obcinam metki. Chcąc sprawić mamie przyjemność, wkładam nowe ubranie, gdy siadamy do śniadania.

Czuję się dziwnie, widząc puste miejsce przy stole. Przez długi czas była nas czwórka, potem trójka, a teraz siedzimy z mamą tylko we dwie.

- Ładnie ci w nowych rzeczach - mówi mama. - Zwłaszcza w tym sweterku.

- Skoro tak uważasz. - Nasypuję muesli do miseczki. - Wiesz, gdzie jest tata? - Zaglądam do miseczki.

Mama smaruje kromkę masłem. Starannie, dokładnie.

- Wróci, na pewno. Nie martw się.

Obserwuję ją. Uśmiecha się do mnie ze sztuczną pewnością siebie.

- Dlaczego tak mówisz? Odkłada nóż na talerz.  
- A co ci mam powiedzieć? Że nas zostawił? A ty? Nie chcesz, żeby wrócił?

Wyjmuję rodzynekę z miseczki, wsuwam do ust. Bawię się nią.

- Nie chodzi o to, czego ja chcę!  
- Kiedy zwątpimy, będzie źle. Uwierz mi, to będzie tylko nasza wina!  
- Mamo, spójrz prawdzie w oczy! Choć raz! Proszę! - Uderzam łyżką o fajans.

- A jaka jest prawda, twoim zdaniem? Czyżby tata dzwonił do ciebie i powiedział, że nie wróci?

- Nie. - Znajduję kolejną rodzynekę.

- No widzisz. - Mama delikatnie bierze kanapkę w dwa palce i wbija w nią zęby. Gryzie pospiesznie. - No więc wierzę, że wróci.

- Nie wróci.

- Och, Luiso. Mogłabyś mu w tym pomóc. - Kolejny kęs. - Przepróś go. Pokaż mu, że to dla ciebie ważne. Ojcowie lubią takie rzeczy.

- Mamo! Uderzył mnie w twarz!

- Nie chciał tego. Przecież staramy się uchronić cię przed tym wszystkim. Zwłaszcza ojciec. Nie chce, byś cierpiała jak my.

- Wiesz co? Ojciec ma mnie głęboko w nosie. Potrzebuje mnie tylko po to, żeby wyładować złość.

Mama wzdraga się z przerażenia, aż miód z kanapki spływa na talerz.

- Przecież jesteś dla niego wszystkim!

- Szkoda tylko, że tego nie okazuje, co?

- Boże, ja też już nie wiem, czego on chce! - krzyczy i rzuca resztki kanapki na talerz. - Robię, co mogę, ale to zawsze za mało. A teraz odszedł.

- Czy to moja wina?

- Luiso! Skądże. - Wyciera palce w serwetkę. - To nie jest niczyja wina. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Musimy w to wierzyć. - Zerka na zegarek.  
- Słuchaj, strasznie mi przykro, możemy o tym później porozmawiać, ale teraz muszę lecieć. A ty idziesz do szkoły!

Mama woła jeszcze: „do zobaczenia” i „baw się dobrze” i zamyka za sobą drzwi wejściowe. A ja wyrzucam muesli do śmieci i wychodzę z domu z plecakiem. I kanapką, i piciem, jak dzieciak z podstawówki. Mama zrobiła mi kanapkę do szkoły. Z serem z dziurami, za którym przepadał mój brat. Ja go nie cierpię.

Idąc do szkoły, zastanawiam się, do którego śmietnika wyrzucić kanapkę i czy rodzice naprawdę chcieli kupić dom, taki jak w tym katalogu. Może o to chodziło, gdy coś liczyli. Chcieli się przekonać, czy stać ich na dom tu, w Berlinie.

I wtedy wpadam na pewien pomysł. Najważniejszy pomysł tego dnia. Jak to było w tym katalogu? Znajdziemy wam dom, którego szukacie. Dom, którego szukacie. Dom. Także dom ze zdjęcia? Dom Thursena?

W połowie drogi się zatrzymuję. A potem już wiem, co mam robić. Odwracam się na pięcie. Wracam do domu, ciskam plecak w kąt. Książki i zeszyty wysypują się na podłogę. Przeskakuję je i siadam za biurkiem.

## Rozdział 11

Komputer pomaga mi z cichym szumem. Telefon komórkowy puszcza do niego oko, drukarka wręcza mi całkiem niezłą fotografię domu Thursena. Wygląda niemal jak prawdziwe zdjęcie. Drukuję z internetu listę agencji nieruchomości w pobliżu szkoły Thursena.

Mam wszystko, czego potrzebuję. Nie, jeszcze nie. Zdejmuję z suszarki uprane wczoraj rzeczy, przebieram się. Mam dość szorstkiego swetra i nowych, sztywnych dżinsów. Wkładam podniszczone leśne spodnie. Gdzie moja kurtka zielona jak mech? Już nie jestem laleczką mamusi. Jestem sobą. Ruszam w drogę.

Mam w ręku długą listę agencji. Przeglądam ją w metrze. Zaczynam od agencji położonej najbliżej szkoły Lovis-Corinth. Mieści się w narożnym budynku. Nazwa wypisana wielkimi literami nad wejściem, w oknach - fotografie domów, mieszkań, ich plany i ceny. Na niektórych przyklejona kartka: sprzedane.

Naciskam klamkę. Wchodzę do środka. Przyzwoita niebieska wykładzina tłumi moje kroki. Kobieta w recepcji przygląda mi się podejrzliwie, i ze sztucznym uśmiechem przełącza jeszcze z dziesięć rozmów telefonicznych, zanim w końcu poświęca mi uwagę. Najwyraźniej nie wyglądam na osobę, którą stać na wille.

- Słucham? - pyta.

Grzecznie zaczynam mówić. Plotę coś o szkolnym projekcie o okolicy, chcę, żeby brzmiało to prawdopodobnie. Nic z tego. Przykro jej, słyszę, ale jedyny agent, który mógłby mi ewentualnie pomóc, ma właśnie spotkanie z klientem. I to może potrwać.

- Nie szkodzi - odpowiadam. - Poczekam.

Liczyła, że sobie pójde? Zostaję. Kręcę się na niewygodnym krześle przy stoliku w poczekalni. Koło mnie, w plastikowej doniczce, mieści się miniaturowa dżungla, jest nawet mały wodospad. Wpatruję się w wodę. Mam czas, żeby wymyślić wiarygodny projekt szkolny. Muskam stopami wykładzinę grantową jak burzowe chmury. Krzesło piszczy. Przy każdym ruchu, a kiwam się na nim cały czas. Pisk, pisk, pisk, pisk, pisk. Równomiernie, miarowo, jak wskazówka sekundowa na zegarze na przeciwległej ścianie. Po pewnym czasie recepcjonistka częstuje mnie wodą mineralną i ciasteczkami dla gości. Chce, żebym przestała się bujać. Podnosi słuchawkę i mówi półgłosem, że siedzi tu pewna uczennica, która ma projekt szkolny i...

- Tak, dobrze - wzdycha i wreszcie, tysiąc lat później, mogę wejść.

Opowiadam nieznanemu mężczyźnie w garniturze, w gabinecie z nazwiskiem Hartwig na drzwiach, przygotowaną historyjkę. Każdy uczeń ma napisać o zabudowie w jednej z berlińskich dzielnic, moja drużyna dostała



akurat Reinickendorf. Z przyklejonym uśmiechem rozwodzi się nad wysoką jakością mieszkań i domów w tej okolicy. Głęboko nabiera tchu.

- Jeszcze jakieś pytania? - pyta, zerkając machinalnie na ekran komputera.

Kładę mu fotografię na biurku.

- Poznaje pan ten dom? - pytam.

Tak, pamięta go.

- Przy Waldeichensteig. - Wzrusza ramionami. - Ale już go nie ma. Zburzono go dwa lata temu.

- Zburzono? Dwa lata temu?

- Na tej działce stoją teraz cztery bliźniaki. - Nie zauważa mojej rozpaczy.

- Cztery bliźniaki! Taki interes! Taka prowizja! I to nie my przeprowadziliśmy tę transakcję. Kto inny sprzątnął ją nam sprzed nosa!

Przełykam rozczarowanie.

- A kto? - pytam. Mam słabą nadzieję, że tajemniczy agent będzie pamiętał nazwisko lokatorów. Tylko nazwisko. Muszę mieć jakiś punkt zaczepienia. Co pozwoli mi szukać dalej.

- Molier - cedzi agent przez zęby. - A teraz proszę mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. To jakiś test czy co? Mieszkał tam ktoś znany? Ofiara nazizmu? Dlatego pani pyta, czy wiem, co to za dom?

Skąd mu to przyszło do głowy? Oszalał?

- Tak, to test - odpowiadam. Wstaję. Uśmiecham się równie sztucznie jak on. - I pan go zdał. Dziękuję bardzo. Odezwiemy się do pana.

Agencja nieruchomości Molier także jest na mojej liście. Najpierw pytam o adres. Dokoła budynku stoi rusztowanie, cała bryła jest owinięta folią, jak gigantyczna torba na śmieci. Drzwi stoją otworem, ze środka dobiegają hałasy. Słyszę wiertarki i szlifierki. Powietrze wypełnia biały pył, opada na papę, którą wyłożono korytarze i schody. Pytam jednego z robotników w białych kombinezonach, którzy pastwią się nad ścianami, gdzie mieści się agencja nieruchomości Molier. Kciukiem wskazuje schody. Nie przerywa pracy.

Trzecie piętro. Bez windy. Idę na górę. Zostawiam za sobą białe ślady. Drzwi do agencji są uchylone. Otwieram je jednym ruchem. Tym razem brakuje mi cierpliwości. Tym razem nie będę bez końca sterczeć w poczekalni. Nie zwracam uwagi na zaskoczoną recepcjonistkę, nie słucham jej pytań, idę dalej, do gabinetu pana Moliera. Zatrzymuję się dopiero przed jego biurkiem.

- Pośredniczył pan w sprzedaży działki przy Waldeichensteig - mówię zamiast powitania.

Pan Molier chyba akurat ma przerwę. Żuje, łyka, niemal dławi się kanapką z kiełbasą. Nie wie, co robić. Siadam naprzeciwko niego, powtarzam bajeczkę o projekcie szkolnym, co też tłumaczy, dlaczego o tej porze nie jestem na lekcjach, ale nie wyjaśnia, czemu interesuje mnie akurat ten dom.

Nieważne.

- Pamięta pan może, kto tam mieszkał? - pytam.

- Oczywiście - odpowiada i wsuwa do ust ostatni kęs kanapki.

- Piszę artykuł o tej rodzinie. - Improvizuję. - Wie pan, że to bliska rodzina Bertolta Brechta?

Patrzy na mnie z niedowierzaniem, kręci głową, wyciera ręce w papierową chusteczkę. Wstaje, szuka czegoś, wyjmując gruby segregator z szafki. Otwiera go. Serce bije mi coraz szybciej. Czuję, jak wilgotnieją mi dłonie, dyskretnie wycieram je w spodnie. Wkrótce poznam nazwisko Thursena. A znając jego imię i nazwisko, zdołam go uwolnić. O ile karteczka nie kłamie. No dalej, mów!

- Oczywiście nie mogę wymieniać żadnych nazwisk, ale... Żadnych nazwisk. Przez chwilę rozważam, czy nie wyrwać mu tego segregatora i nie uciec. Chyba nie dogoniłby mnie od razu?

- Ale to nie była rodzina. To była starsza pani, która przeniosła się od domu starców - mówi. Mam wrażenie, że zboczyłam z właściwej drogi i wpadłam w bagno, w którym zapadam się coraz głębiej. Ale nadzieja nie daje za wygraną, walczy, szamocze się, aż wreszcie trafia na twarde grunty pod nogami.

Może to zdjęcie ma coś wspólnego ze mną, mówił Thursen. Może to zdjęcie jej przeprowadzki do domu starców. Stąd to pudło. Może to jego babcia?

- Nie miała rodziny - ciągnie agent. - I dlatego wolała sprzedać dom, żeby sobie na starość wygodnie pożyć.

Nie miała spadkobierców. A więc nie była niczyją babcia. Grunt zawiódł. Nadzieja tonie.

Ten agent jest inny niż ten poprzedni. Odwraca się, widzi, co się ze mną dzieje. Odkłada segregator.

- Tu nie chodzi o projekt o Brechcie, prawda? - Siada w wielkim skórzanym fotelu naprzeciwko mnie.

Kręcę głową, zaślepiona łzami.

- Więc o co? - Mówi głosem dobrego wujaszka z bajki. Znowu staję się naiwnym dzieckiem, które z ufnością daje się wyprowadzić do lasu. Ale i tak nie mówię mu całej prawdy. Jakim cudem mogłabym powiedzieć mu wszystko tutaj, w agencji nieruchomości? Jak mogłabym wyłożyć życie Thursena na tym biurku?

- Szukam pewnego chłopca - mówię. Jestem z siebie dumna. To normalne zdanie. - Kiedyś tam mieszkał.

- Przy Waldeichensteig?

Kiwam głową, podaję mu zdjęcie. Bierze je, odwraca, podsuwa pod światło, jakby szukał ukrytych szczegółów. Poprawia krawat pod szyją.

- To nie jest Waldeichensteig, ten dom stoi przy... Poczekaj chwilę...

Czekam. Czekam, odkąd Thursen pokazał mi to zdjęcie. Czekam, aż zapomnę o oddychaniu.

- Kornelkirsche! - woła i uderza palcem w obrazek. - Nie pamiętam, co dalej, Weg, Steig, Strasse. Poszukaj na planie.

- Nie ma pan segregatora?

Przecząco kręci głową.

- Nie, to była tylko wstępna oferta. Nie doszło do transakcji nie przeze mnie. Rodzina chciała sprzedać ten dom. Ten facet kiedyś do mnie przyszedł, ale potem zadzwonił i wszystko odwołał. - Mówi coraz ciszej. - Podobno doszło do jakiejś tragedii. Ich syn przepadł bez śladu. To jego szukasz?

Nie wiem, czy mam potwierdzić. Zamyśliłam się. Czy ta rodzina nadal tam mieszka? Czy nadal czeka na syna? Pan Molier nie czeka na moją reakcję, mówi dalej. Współczucie w jego głosie jest jak miękka poduszka:

- Nie wiem, czego szukasz, ale policja sprawdziła tam wszystko dokładnie. Nie słyszałem, żeby chłopak się odnalazł. Przecież o czymś takim na pewno pisaliby w gazetach.

Nie, oczywiście, że chłopak się nie znalazł. Przecież ja wiem, gdzie jest. Mieszka w lesie, otulony w długi, czarny płaszcz. Bez imienia. Agent patrzy na mnie ze współczuciem. Znowu płaczę, ale tym razem są to łzy radości. Jestem mu taka wdzięczna. Może ta rodzina nadal tam mieszka, może sąsiedzi coś wiedzą. Pan Molier nie wie przecież, że potrzebne mi tylko nazwisko.

Zaślepiona łzami, potykam się, przepraszam recepcjonistkę i wychodzę. Dopiero na zewnątrz odzyskuję jasność myślenia.

Sprawdź na planie miasta, powiedział pan Molier. Potrzebna mi mapa. Jutro tam pojedę. Na dzisiaj już wyczerpałam dozę szczęścia. Dzisiaj jeszcze tylko kupię plan miasta. Rozkładałam go w metrze. Błądzą palcem po okolicy szkoły Lovis-Corinth. Plan z cichym szelestem zdradza swój sekret. Wpisuję adres Kornelkirschenweg do telefonu komórkowego. Mój cel. Na jutro.

Może jestem już blisko. Może już jutro się czegoś dowiem. Ale niewykluczone, że to kolejny martwy trop, który prowadzi donikąd. Może Thursen po prostu znalazł gdzieś to zdjęcie, wsunął je do kieszeni i o nim zapomniał. A jednak nie tracę nadziei.

Tyle szczęścia i radości, a nie mam się z kim nimi podzielić. Chętnie opowiedziałabym Thursenowi o efektach moich poszukiwań. Albo, jawniej, snułabym z Fabim wspaniałe plany. Ale teraz moja radość trafia w pustkę. Od Thursena muszę trzymać się z daleka, a Fabiego już nie ma. Komu mam o tym opowiedzieć, zanim pękne? Drzewo Fabiana. Tak, mogę mu to opowiedzieć. Zwierzę się z wątpliwości cichej korze w nadziei, że przekaże mojemu bratu moje lęki, bez względu na to, gdzie się teraz znajduje. Więc kupię kwiatki. Idę od drzwi przez pachnącą kwiaciarnię, czując na sobie spojrzenie sprzedawczyni, i wybieram Czerwone? Niebieskie? Może białe róże? Nie spieszę się czasu mam aż za dużo. W końcu wybieram chryzantemy. Piękne, dorodne kwiaty w ognistych barwach jesieni, żółto-czerwone. Wielki bukiet, bo część położę pod drzewem Sjóll. W lesie są teraz dwa drzewa pamięci. Dwa nagrobki.

Po raz pierwszy od dawna idę do lasu, żeby być sama. Nie chcę nikogo spotkać. Przede wszystkim nie Thursena. Nie zniosłabym jego widoku tylko po to, żeby znowu go stracić. Błąkam się bez celu, zabijam czas. Czekam za zachód słońca na zmierzch, bo wtedy wilki udają się na polowanie. Wtedy drzewa będą

tylko moje. Wtedy nie będę musiała patrzeć Thursenowi w oczy, wiedząc, że odchodzi, i znowu ze strachu umierać po kawałku. Dopiero gdy słońce skąpane w czerwem zanurza się w jeziorze Wannsee, idę pod drzewa.

Najpierw zaglądam do Fabiana. Siadam tam i w myślach opowiadam mu o nowym tropie, na który dzisiaj wpadłam. Dotykam kory. Połowa chryzantem jest dla brata. Pachną surowo, jesiennie. Rozkładałam je w wachlarz pod drzewem.

Potem do Sjóll. Po raz pierwszy - także do Sjóll. Stoję tam z resztką kwiatów w dłoni. Podchodzę do jej drzewa z pozostałymi kwiatami. Staję bardzo blisko. Nacięcia w korze, które zrobił Thursen, nie są już świeże. Już nie pachną żywicą. Wiesz, przeczytałam karteczkę, myślę sobie. Teraz znam waszą tajemnicę. Dziękuję ci. Ale dziwnie się przy tym czuję, nie tak, jak pod drzewem Fabiana. Czuję się sama. Nie ma tu Sjóll, nie ma wspomnienia o niej. Wydaje mi się, że krąży gdzieś po lesie. Ze wcale nie zginęła. Jak może nie żyć? Nie pojmuję tego, nie widziałam jej po śmierci. Ani nawet w chorobie. Fabiana - tak. Może dlatego jej drzewo mnie nie rozumie.

- Gdzie jesteś, Sjóll? - szepczę i dotykam jej imienia wrytego w korze. Zamykam oczy. Wspominam ją. Jak siedziała z innymi. Grała w karty przy świetle świecy. W myślach słyszę jej dźwięczny śmiech.

Głosy. Nagle słyszę głosy za sobą. Prawdziwe. Rzeczywiste. Ktoś jest w wilczym obozowisku. - Nie!

Odwracam się. I w tej samej chwili otwieram oczy. Wrócili! Siedzą wszyscy, tam gdzie zawsze. Norrock i Thursen, i ktoś jeszcze. Dziewczyna. Otaczają ją kudłate wilki. Thursen i Norrock gestykują, mówią do niej. Sjóll? Czy to Sjóll? Odnaleźli ją? To naprawdę ona?

Upuszczam kwiaty. Nie zwracam na nie uwagi. Z cichym szelestem opadają na ściółkę.

Bez namysłu podchodzę bliżej. Sjóll?

Więc jednak żyje?

- Sjóll! - wołam.

Odwracają głowy w moją stronę. Dziewczyna także. Patrzy na mnie obca twarz i zaraz ucieka wzrokiem. To nie Sjóll. Ta dziewczyna ma brązowe włosy, nie czarne. Proste i błyszczące, nie kręcone. Siedzi skulona na ziemi. Ma na sobie za duży sweter z za długimi rękawami, którymi się otuliła. Kołysze się w przód i w tył, pochyla głowę, jakby chciała przenieść się tym sposobem do innego świata.

Co ta obca dziewczyna robi wśród moich wilków?

- Co to ma znaczyć? - wołam. - Kto to jest?

Rawuhn i Krestor biegną w moją stronę. Zjeżona sierść. Chyba chcą mnie powstrzymać. Nie zwracam na nie uwagi. Muszą mnie ugryźć, złapać za kurtkę, powstrzymać siłą. Ale nie robią tego. W milczeniu biegną koło mnie.

Mój głos jest jak ostrze, ostry, twardy. Żądam odpowiedzi.

- Co ona tu robi?

Norrock się podnosi, staje przede mną na rozstawionych nogach. Ma szerokie bary. Podnosi ręce, każe mi stanąć.

- Spokojnie, Luiso.

A zanim Thursen, mój Thursen, kuca koło dziewczyny, obejmuje ją ramieniem i mówi coś do niej cicho.

Wyciągam ręce, chcę odepchnąć Norrocka. Zejdź mi z drogi, do cholery! Odsuwa się ode mnie.

- Ależ proszę, nikt cię nie zatrzymuje. Przecież wiesz, co robisz. - Odchodzi na bok, coraz dalej od nas, jakbym przed chwilą wcale go nie zaatakowała.

Thursen podnosi na mnie wzrok. Inny, obcy Thursen. Nie wita mnie uśmiechem. Patrzy nieufnie. Wie, że nie wróciłam dla niego. To tylko cholerny przypadek. Wcale nie chcę tu być. Żałuję, że tu przyszłam. Pod jego szarym, lodowatym spojrzeniem robi mi się zimno.

Nadal kuca, nadal obejmuje nieznaną dziewczynę. Jego długa, wąska dłoń na jej za dużym swetrze. Głaszcze ją. Dziewczyna nie podnosi głowy, nie patrzy na mnie.

- Kto to jest? - pytam ostro.

Thursen nie odpowiada. Przestaje ją głaskać, kładzie jej rękę na ramieniu.

- Sama ją zapytaj! - Norrock wraca z butelką wody. Podaje dziewczynie. Pije zachłannie. Thursen obejmuje ją cały czas, jakby chciał ją przede mną obronić.

- No więc? - pytam. Trącam nieznaną ze zniecierpliwieniem.

Odstawia butelkę. Krztusi się.

- Nie wróć - sapie, czerwona na twarzy. Patrzy błagalnie na Thursena i Norrocka. Znowu kaszle. - Mówiliście, że nie muszę wracać!

Thursen marszczy brwi i patrzy na Norrocka. Ten ironicznie unosi kącik ust.

- No dobrze, ja się tym zajmę. - Thursen kiwa mi głową i prostuje się powoli. - Co chcesz wiedzieć?

Zaciskam lewą pięść. Drugą ręką wskazuję nieznaną

- To twój projekt, Thursen? Dziewczyna, którą możesz się zaopiekować? Tak szybko znalazłeś moją następczynię?

- Ona nikogo nie zastępuje. Nikomu.

- Więc co tu robi?

- Do cholery, Luiso! Norrock znalazł ją dzisiaj. Trochę dalej, w lesie, na starym dębie. - Głową wskazuje kierunek. - Stała na grubym konarze.

- Chciała się powiesić. - Norrock wskazuje sznur, który dziewczyna trzyma w dłoni. Niedbale zwinięty. Kiedy patrzę dziewczyna chowa go niezdarnie za plecami. Jeszcze bardziej kuli się w sobie.

- Lepiej to wezmę. - Thursen pochyla się nad dziewczyną i wyjmując jej sznur z dłoni. Oddaje mu po chwili wahania. Lina jest długa, mocna, grubości mojego kciuka. Nie pękłaby.

- Chciała się zabić - mówi Thursen, rozwiązuje pętlę i owija się sznurem w pasie, jak nieskończenie długim pasem. - Zadbam, żeby żyła, rozumiesz? Co oznacza, że nie możesz na nią tak krzyknąć. - Ponownie kuca koło dziewczyny i delikatnie wyjmując jej z dłoni pustą butelkę.

Mała. Powinno być lepiej jej się przyjrzeć. Dokładniej. Zanim wybuchłam. Ma najwyżej trzynaście, czternaście lat. To jeszcze dziecko. Przerazone, onieśmielone dziecko które patrzy na Norrocka trochę jak na świętego Mikołaja a trochę jak na starszego brata. Dziecko, które ma w oczach śmiertelny strach.

Przełykam ślinę. Thursen ma rację. Muszę uważać na to, co mówię. Muszę rozwiązać jej strach, inaczej poderwie się i ucieknie na oślep przed siebie jak spłoszona sarna, która wpada pod samochód.

- Przepraszam, że byłam niemiła. Zostań tutaj - uspokajam ją. - Z Norrockiem i Thursenem nic ci nie grozi. - Póki nie zastrzeli jej myśliwy. Boże, jak ja świetnie kłamię.

Mała kiwa głową. Nadal milczy.

- Powiedziała wam coś? - Zwracam się do Norrocka.

- Nie. Tylko powtarza, że nie chce wracać.

- Dokąd?

- Nie mam pojęcia. Zresztą, to nieważne. O ile nie będzie znowu próbowała się zabić.

Zabić! Dlaczego wszyscy umierają? Dlaczego wszyscy dokoła mnie, ludzie i wilki, tak nienawidzą życia, że wolą umrzeć, niż żyć dalej? A za każdego, kto odejdzie albo stanie się wilkiem, zjawia się ktoś nowy. Jak ta mała dzisiaj. Czy to się nigdy nie skończy?

Teraz to ja kucam koło niej jak przedtem Thursen.

- Cześć! - Robię, co mogę, by nie przestraszyć jej jeszcze bardziej. Staram się mówić cicho i łagodnie. - Nie powiedziałam ci, jak się nazywam. Jestem Luisa.

- Cześć - szepcze mała.

- A ty? Jak masz na imię? - Bo to ważne. Bo mała przejdzie przemianę i zapomni, kim jest. I już nikt się tego nie dowie, a ktoś musi pamiętać. A jeśli karteczka Sjóll nie kłamię, może będę mogła ją wybawić i sprawić, że ponownie stanie się człowiekiem.

- Nie powiem.

- Proszę.

- No dobrze. Gabriella. - Cały czas wpatruje się w zdeptane brązowe liście na ziemi i wiem, że kłamię.

- Gabriella? - Staram się wyczytać prawdę z jej zielono-brązowych oczu. Ale kiedy podnosi na mnie wzrok, widzę w nich tylko błyszczący strach.

- Co się stało, Gabriello?

Kręci głową. Patrzy przeze mnie, kołysze się w przód i w tył i machinalnie gładzi się po lewej ręce. Raz za razem. Odciągnęła przy tym rękaw swetra, aż do łokcia. Patrzę na drobną rączkę i robi mi się słabo. Dostrzegam wzory ze starych blizn i świeże rany. Układają się jakby w magiczny wzór. Czując na sobie moje spojrzenie, szybko opuszcza rękaw i siada tyłem.

- Co to jest? - Nie odpowiada, więc pytam Norrocka i Thursena. - Co ona ma na ręku? Kto jej to zrobił? Ona sama?

Thursen stoi koło mnie, kładzie mi rękę na ramieniu. - To nic takiego. - Wzrusza ramionami. - Zagoi się.

- Na pewno ją boli! - denerwuję się. I strącam z ramienia jego dłoń. Podnoszę się, prostuję się u jego boku. - Co ty możesz o tym wiedzieć!

Spokojnie podwija rękaw płaszcza. Rękaw ciemnego płaszcza, z którym się nie rozstaje. Podwija go do łokcia i widzę jego skórę: włoski, mięśnie, niebieskawe żyłki, a na nich - siatkę białych blizn. Takich samych jak u dziewczyny. To to samo magiczne pismo. Jakby na jego skórze spisano tę samą historię. Wie, co to za ból. Wie doskonale. Nigdy mi tego nie mówił.

Dotykam palcem jego blizn, jakbym chciała go w ten sposób uleczyć. Wyobrażam go sobie, jak tnie swoim scyzorykiem nie tylko korę drzew. Jak rozcina własną skórę, aż płynie krew i ten makabryczny wzór nabiera wyrazistości. Co do tego skłania? Złość? Rozpacz? A może robi się to machinalnie, jak obgryzanie paznokci, aż ból wyrywa cię z odrętwienia?

- Dlaczego?

Wzrusza ramionami i opuszcza rękaw starannie, aż do nadgarstka.

Oczywiście. Tego też nie pamięta.

- Nie rób tego więcej! - szepczę.

- Już od dawna tego nie robię - odpowiada. - Zostały już tylko blizny. Dlatego dostałem ten płaszcz od wilków, gdy przystałem do stada. Z długimi rękawami, żeby zakryć cięcia. Żebym mógł zapomnieć.

Kiwam głową.

Wyrywa poźółkłe źdźbło trawy, obraca je w palcach.

- Te kwiaty pod drzewem Sjóll... Mają tak leżeć? Przypominam sobie, że upuściłam je machinalnie. Obserwował mnie? A ja myślałam, że interesuje go tylko ta nowa.

Nie, skądże.

Bierze mnie za rękę, to stary nawyk. Nie protestuję. Przecież to nic nie znaczy, wmawiam sobie. Po kilku krokach chyba zauważyła, co zrobił, i puszcza mnie. Idziemy do drzewa Sjóll, tylko my dwoje. Przemykamy się między drzewami. A jednak gdy docieramy na miejsce, okazuje się, że nie jesteśmy tam sami. Pod drzewem siedzi wilk, wychudzony, o zmierzwionej sierści. Karr. Thursen głaszcze go, a ja zbieram kwiaty z ziemi. Układam ogniste chryzantemy dokoła drzewa, łodygami do pnia, promieniście. Karr siedzi nieruchomo, nawet nie odwraca łba.

- Mnie też jej brakuje, przyjacielu - mówi cicho Thursen. Kuca przy nim, otacza go ramionami. - Cały czas mam w uszach huk wystrzału. Ty też?

- Którego wystrzału? - pytam, niezdolna się powstrzymać. Czuję, jak płonie mi dusza. - Tego, który zabił Sjóll, czy tego, który cię ranił? - Dlaczego Thursen tak beztrąsko obchodzi się ze swoim życiem? Gdyby za drugim razem myśliwy trafił w inne miejsce, stalibyśmy teraz pod drzewem Thursena. Niezdarnie, koślawo, wyryłabym jego imię na pniu, bo przecież on też nie miałby prawdziwego nagrobka. Lodowata pięść ścisnęła mój żołądek. O Boże, Thursen. Tylko nie on! Zamykam oczy, żeby powstrzymać łzy. Unoszę powieki, dopiero gdy słyszę kroki.

Norrock idzie w naszą stronę z butelką wody.

- Miałaś fatalny pomysł z tymi drzewami - mówi do Thursena i klepie Karra po grzbiecie.

- To ważne dla Luisy - odpowiada Thursen i zerka na mnie.

- Dla Luisy! - parska Norrock. - Popatrz na Karra! Od kilku dni nie przybiera ludzkiej postaci. Nie je. Nie pije. Jak ma się z tym pogodzić, skoro podsuwasz mu pod nos imię Sjóll w środku lasu?

- Przykro mi z powodu Karra - wtrącam.

- Jest nam potrzebny - ciągnie Norrock. - To on zawsze chodził między ludźmi.

- Musicie się uzbroić w cierpliwość.

- Nie możemy! Mała dygocze z zimna! Jeszcze nie umie zmieniać się w wilka. Jeśli nie ma futra, musi mieć ciepłą kurtkę, i to nie dopiero kiedy Karr otrząśnie się z żałoby i da sobie spokój z wysiadaniem pod tym drzewem. Najlepiej byłoby je ściąć! - kopie pień z całej siły.

Wiem, że tego nie robi. Drzewom nic nie grozi. Norrock nie ma piły i nie jest w stanie pozostać w ludzkiej postaci tak długo, by ją kupić. Jest słabszy od Thursena, który potrafi przezwyciężyć instynkt.

- Gdzie jest mała? - pyta Thursen.

- W obozie. Są z nią Jerro i Rawuhn, ogrzewają ją, najlepiej jak umieją.

Widziałam, jak trzęsie się z zimna. Bez namiotu, bez kurtki. Bez domu, do którego mogłaby wrócić. Ma tylko dwa kudłate wilki, by chroniły ją przed chłodem.

- Mam jej kupić kurtkę?

- A zrobisz to? - pyta Norrock.

Wiem, co sobie myśli, i nie podoba mi się to. Nieważne.

- Macie pieniądze?

Norrock macha butelką za siebie.

- W obozie.

- Dlaczego Karr nie pójdzie pić jako wilk? - pytam. - Przecież może to zrobić.

- Nie oddała się od drzewa Sjóll dalej niż dziesięć kroków. Przyspiesza, żeby dotrzymać kroku Norrockowi.



- Ale kiedy przyszedłam pod drzewo Sjóll, nie było go tam. Norrock wzrusza ramionami.

- Mówisz tak, bo go nie widziałas.

Nie widziałam, ale słyszałam. Ten szelest w zaroślach - czy to był Karr?

Odwracam się ponownie. Widzę, jak Thursen kuca przy nim w długim czarnym płaszczu. Trzyma butelkę w lewej dłoni, nalewa wodę do prawej. Karr ją zlizuje. Nie łapczywie, raczej powoli, z wahaniem. Gdyby Thursen nie podsuwał mu jej pod pysk, nie piłby w ogóle. Umarłby. I musielibyśmy wyryć jego imię na innym drzewie.

- Idziesz czy nie?

Norrock jest już przy wejściu, schyla się, znika w wilczej jamie. Idę za nim. W pierwszej chwili otacza mnie ciemność, potem, gdy moje oczy przywykają do ciemności, dostrzegam zarysy. Dziewczynka, która na pewno nie ma na imię Gabriella, siedzi skulona i drży. U jej boku - Rawuhn, wilk o jasnej sierści. Mała trzyma go za futro. Jerro, zwinięty w kłębek, grzeje jej plecy. Norrock wyjmuje plastikowe pudełko spomiędzy liści. Otwiera je i wciska mi w dłoń plik banknotów.

- Skąd to macie? - pytam.

Norrock zapewne krzywi się ironicznie. Nie widzę tego, ale domyślam się po tonie jego głosu.

- Chyba to widziałas pod centrum handlowym, prawda?

- No tak. - Nie pytam, kto im wymienia drobne na banknoty. - No dobrze. Jaki nosisz rozmiar? - pytam małą. W pierwszej chwili nie rozumiem, co mówi, tak cicho mi odpowiada.

- Prawie 164 - szepcze. Rozmiar dziecięcy. Nie myliłam się, to jeszcze dziecko.

- No, to już pójdę - mówię, wsuwam banknoty do kieszeni i wypęlam na zewnątrz.

Zerkam na zegarek.

- Już późno, za pół godziny zamykają sklepy, dzisiaj nie zdążę. Jutro - obiecuję. - Jutro wrócę z kurtką.

Zaglądam ponownie do jamy. Norrock, w wilczej postaci, zwija się w kłębek i ogrzewa małą z drugiej strony. Wracam do domu, przez las. Banknoty szeleszczą mi w kieszeni.

Dotykam ich także wtedy, gdy wynurzam się z zarośli na alejkę. Jeszcze kilka kroków i dojdę do latarni, pod którą kiedyś zegnałam się z Thursenem. Mojej latarni. Naszej latarni. Latarni, pod którą teraz kłapouchy, łaciaty psiak zadziera nogę.

- Co to ma znaczyć! - krzyczę i najchętniej pchnęłabym w krzaki chłopaka, który trzyma go na smyczy. Odwraca się.

- Cześć, Luiso. - To Edgar, irytujący chłopak z mojej klasy. Uśmiecha się do mnie, jakby nie słyszał mojego pytania. Albo nie wziął go do siebie. Jego pies, basset, skończył sikać i ciekawie człapie w moją stronę. Milczę.

Pies mnie obwąchuje. Nagle nieruchomieje, jeży sierść na karku i warczy.

- Nie bój się, nic ci nie robi - zapewnia Edgar i głaszcze go po łbie.

Nie boję się. Nie takiego psa.

- Nie rozumiem. Co on zwęszył? - Edgar znowu papple. - Zazwyczaj jest bardzo przyjacielski. Masz może psa?

Psa?

- Nie, nie mam - odpowiadam. Wyobrażam sobie, co z bassetem zrobiłyby wilki Thursena, gdyby tak na nie warczał. Edgar musiałby zabrać go do domu w plastikowej torbie. Czy raczej jego resztki.

- Muszę iść. - Chcę odejść, ale Edgar zastępuje mi drogę.

- Co ty tu robisz? Myślałem, że jesteś chora czy coś. A ty spacerujesz po lesie.

Wbijam także drugą rękę do kieszeni.

- A co cię to obchodzi?

- Kiedy wrócisz do szkoły? Masz coraz większe zaległości.

- A co cię to obchodzi, do cholery? Nie masz własnych problemów, że ciągle wsadzasz nos w cudze życie?

- A ty? Masz problemy?

- Daj mi spokój, dobrze?

- Chcesz o tym pogadać?

- Czego w zdaniu: „daj mi spokój” nie rozumiesz?

- A wrócisz do szkoły, jeśli dam ci spokój?

- A co, w moim życiu wszystko się poukłada, kiedy coś ci powiem?

- Może. Czasami rozmowa pomaga.

- Jedno ci powiem: moje problemy przerastają cię o głowę.

- A więc jednak masz jakiś problem. Wiedziałem. Jeśli to sprawa kryminalna albo...

- No proszę, koleżanka z klasy zeszła na manowce, a ty spieszysz jej na ratunek jak rycerz na białym koniu. Liczysz na nagrodę? Och nie, już wiem, w ten sposób zdobywasz dziewczyny!

- Nie mam dziewczyny.

I najpóźniej w tym momencie muszę się roześmiać. Nie mogę się powstrzymać. Jego szczerą, naiwną twarz! Nic nie rozumie. Tkwi całym sobą we własnym świecie, w którym dobro i zło są jasno określone, a policja rozstrzyga wszelkie wątpliwości. Edgar wie o moich problemach jeszcze mniej niż jego pies. Edgar nigdy nie zrozumie, dlaczego dziewczyna, właściwie dziewczynka, woli umrzeć, niż wrócić do domu. Śmieję się do łez.

I wtedy Edgar wpada w złość.

- Tak, słyszałem o twoim bracie. Przepraszam, że żyją wszyscy, których znam! Przepraszam, że nie doświadczyłem całego cierpienia tego świata. Pewnie, nie mam prawa cię pytać, co się dzieje, jasne. Powiedz, czy jest ktoś, kto jeszcze może z tobą wytrzymać?

Przełykam śmiech. Poważnieję.

- Wyobraź sobie, że tak!
- Czyżby? A to ciekawe. A kto to taki?
- Thursen - wypalam bez namysłu i sama już nie wiem, czy to prawda.
- Thursen? Oryginalne imię. No, to baw się dobrze z tym twoim

Thursenem!

Nie udaje mu się odejść dumnie, bo chwilę trwa, zanim jego pies ruszy za nim.

Idę dalej. Mam ważniejsze sprawy na głowie, niż oglądać się za siebie. W lesie dygocze z zimna mała dziewczynka.

Wracam późno do domu. I to był błąd. Gdy następnego ranka chcę wyjść, drzwi są zamknięte. Nikogo nie ma w domu. Nikt mnie nie budzi, nie wmusza we mnie śniadania, jestem w domu sama i nie mogę wyjść. Co to ma znaczyć? Od kiedy nie muszę chodzić od szkoły? Dopiero wtedy przypomina mi się, że to sobota. Dzień wolny. Chcę wyjść! Nie ma mojego klucza. Nie, nie zapodziałam go, ale sprawdzam na wszelki wypadek. Nie ma go w kieszeni kurtki ani w szufladce z kluczami. Za to na kuchennym blacie jest kartka od mamy.

„Musimy porozmawiać!” - czytam. Odpisuję: „NIE”. Tak mocno przyciskam ołówek do papieru, że go łamię.

Jak mogła mnie zamknąć? Jak mogła rano, ukradkiem, gdy spałam, zabrać mi klucz? Co to ma być? Więzienie bez procesu? Bez prawa do obrony?

Dzwoni telefon. Dobrze, że przynajmniej do mnie dzwoni. Sięgam po słuchawkę.

- Posłuchaj, mamó! - wrzeszczę.
- To ja, Edgar. Co?
- Chciałem cię przeprosić. Niepotrzebnie wczoraj na ciebie nakrzyczałem. Przepraszam. To było wredne.

- Posłuchaj, daruj sobie te sztuczne uprzejmości.

- Chcę ci tylko pomóc!

- Tak? To znajdź mi dobrego ślusarza!

- A co? Zatrzasnęłaś się? Mam wpaść?

- Nie, do cholery! Nie zatrzasnęłam się! Gdyby tak było, nie odbierałabym telefonu, prawda? Nie mogę wyjść!

- Luiso, posłuchaj mnie. Najlepiej poczekaj na powrót mamy.

- Nie, Edgar. Tego na pewno nie zrobię. Cześć.

Słyszę, jak się ze mną żegna, gdy odkładam słuchawkę, czy raczej ciskam ją na stół z takim impetem, że wypadają z niej baterie.

Mam ochotę siekierą wyrąbać drzwi. Wyobrażam sobie trzask pękającego drewna. Ponieważ chwilowo nie mam pod ręką siekiery, otwieram wszystkie okna. Wychylam się przez parapet. Ulica kusi, a ja siedzę tutaj! Balkon! Drzwi zacinają się, ale po chwili jestem na zewnątrz. Lepiej, ale ciągle za wysoko. Pode mną - znajomy głosik. Kukiełkowe księżniczki paplają radośnie i piją herbatkę.

- Lotti?

- Luisa? - dziecięcy głosik. - Przyjdiesz do nas? Pobawimy się w przyjęcie. Dam ci się pobawić jasnowłosą księżniczką.

- Lotti, nie mam klucza, a drzwi są zamknięte. Nie mogę wyjść.

- Och. Szkoda.

I wtedy wpadam na pewien pomysł. Pochylam się, ale nie widzę balkonu piętro niżej. A jeśli Anja stoi koło niej?

- Lotti, jesteś sama?

- Tak, a co? - Jej główka pojawia się nad obramowaniem. Patrzy na mnie.

- Bo zaraz do ciebie zejdę. Spróbuję dostać się na twój balkon.

- Super! - woła radośnie. Co za przygoda.

- A wypuścisz mnie?

- Muszę zapytać mamę.

- Nie! Nie, to nasza tajemnica!

- No to musimy zrobić to teraz, póki mama jest w kuchni, inaczej cię zobaczy!

- Dobrze, tylko znajdę jakąś linę. Zaraz będę!

Drę prześcieradło na pasy, jak w filmie gangsterskim, i przeklinam matkę za to, że nie dała Anji klucza. Dawniej zawsze trzymaliśmy zapasowe klucze u sąsiadów. Wtedy Lotti mogłaby mnie bez problemu wypuścić. A tymczasem splatam sznur z pasów i wychodzę na balkon. Ciężko mi zawiązać skleconą naprędce linę na poręcz. Zrzucam ją i ostrożnie wychodzę poza poręcz. Najpierw nogi. Muszę opuścić się jeszcze trochę, minąć niezdarny węzeł i nie patrzeć w dół. W końcu Lotti łapie mnie za nogi, przyciąga do siebie i niezdarnie ląduję na jej balkonie, koło pustej doniczki. Staram się nie deptać po lalkach.

- Mama jest w kuchni, karmi Lili - szepcze.

- Rozumiem. Odpowiadam cichutko.

- Dzięki, Lotti. Fajnie, że mi pomagasz, bo muszę koniecznie wyjść.

- Dlaczego?

- Muszę coś kupić pewnej dziewczynce.

- Jak ma na imię? - pyta Lotti. Marszczy brwi. Chyba nie jest zazdrosna?

- Gabriella.

- Co chcesz jej kupić?

- Kurtkę.

- Ma urodziny? Idziesz na przyjęcie?

Na przyjęcie? Czuję, że dzielą mnie od Lotti lata świetlne. Jakby mieszkała na innej, radosnej planecie, na której urządziła się przyjęcia, a śliczne księżniczki w różowych sukienkach i uśmiechem na ustach tańczą walca w objęciach książąt. W moim świecie tylko się umiera i płacze. Nie, nie idę na przyjęcie.

Zaprzeczam ruchem głowy.

- Gabrielli jest zimno.

- Nie ma ciepłych ubranek? Znowu kręcę głową.

- Nie ma nic.

Lotti biegnie do siebie i wraca, zdyszana.

- Daj jej to, dobrze? Na pewno poczuje się lepiej. - Malutki pluszowy miś z miękkim futerkiem.

- Jesteś kochana - mówię.

- Szybko, Luiso! - Lotti bierze mnie za rękę. Wciskam misia do kieszeni kurtki, gdy ciągnie mnie do przedpokoju. Cichutko otwiera drzwi i wypycha mnie na korytarz. A potem wspina się na palce i szepcze mi do ucha:

- A przyniesiesz mi coś z zakupów?

- Oczywiście - obiecuję.

Byłam już w tym wielkim sklepie turystycznym. Kupiłam tu moją kurtkę. A skoro mogłam tu kupić moją, mogę kupić też kurtkę Gabrielli. Przeszklone drzwi otwierają się cicho, wpuszczają mnie do środka. Idę prosto do działu odzieżowego, ale nagle moją uwagę zwraca chłopak, który chce wypróbować sprzęt do wspinaczki. Zwiesza się ze ścianki kilka metrów nad podłogą. Na linie. Gdybym miała taką linę, nikt nie zdołałby mnie zamknąć. Wybieram grubą jak mój kciuk, tak długą, że sięgałaby do samej ziemi, i plecak do jej przechowywania. Bieliznę na zmianę. Przysięgam sobie, że jeśli jeszcze raz będę musiała wychodzić z domu przez balkon, nigdy więcej tam nie wrócę.

Bez trudu wybieram kurtkę dla Gabrielli. Biorę pierwszą lepszą w jej rozmiarze, na wyprzedazy. Jest błękitna jak letnie niebo, choć akurat kolor nie ma znaczenia. Po kilku przemianach będzie szara jak płaszcz Thursena. Nie wystarczy mi na nią pieniędzy od Norrocka. Nie szkodzi, płacę za wszystko razem i dokładam brakującą sumę z własnej kieszeni. Przynajmniej w ten sposób koję wyrzuty sumienia. Nie znam Gabrielli, a mimo to ją odrzucam. Nie, nie ją. Nieważne, kto dołączyłby do stada. Nie polubiłabym nikogo nowego, kto zająłby miejsce Sjóll. Nikogo, kto może z nimi zostać, gdy ja muszę odejść. Dlaczego Thursen może być wilkiem, a ja nie?

Upycham zakupy do plecaka i wychodzę ze sklepu. Idąc na dworzec, dostrzegam na wystawie kryształ okienny. Promienie słońca rozszczepiają się w pryzmacie, rozjaśniają cały pokój. Wchodzę do środka, kupuję go Lotti. Miła sprzedawczyni pakuje go starannie, żeby się nie stłukł. Płacę i chowam go do plecaka. Jasność i kolory dla Lotti. Co za skarb w moim plecaku.

Gabrielli podoba się kurtka. Wkłada ją, zasuwa zamek pod szyję, kuli się, aż kołnierz sięga jej uszu. Wtula się w nią jak w kokon, chowa zmarznięte dłonie do kieszeni i biegnie do Norrocka, żeby się pochwalić. Już dzisiaj ma nieco ciemniejsze włosy. I bledsze policzki.

- Niech zgadnę - mówię do Thursena, składając pustą torbę. - Macie nowego członka stada. Kiedy przeszła przemianę?

Thursen nie reaguje na agresję w moim głosie.

- W nocy.

- Szybko poszło.

- Robimy co w naszej mocy, by zachować ją przy życiu. To łatwiejsze, gdy jest wilkiem.

- Ale nie ufasz jej tak do końca, co? - Wskazuję na sznur; dzisiaj przewiesił go sobie przez ramię jak lasso.

Muska go dłonią.

- Lepiej mieć na nią oko. A przy okazji: dzięki za kurtkę. To był miły gest.

- Nie ma sprawy. - Chowam torbę do plecaka u moich stóp. Zarzucam go sobie na ramię. Wstaję.

Thursen patrzy na mnie dziwnymi szarymi oczami. Poważnie, przenikliwie. Niemal czuję na skórze dotyk jego spojrzeń. Przełykam z trudem, muszę przerwać ciszę. Powiedzieć coś szybko, zanim strach, że go utracę, rozerwie mnie na pół, razem z pragnieniem, by rzucić mu się w ramiona. Gdy mówię, sama jestem zaskoczona normalnym brzmieniem mojego głosu.

- Na co właściwie wydajecie zebrane pieniądze? - pytam. Thursen uśmiecha się lekko. Bez wesołości, ale też bez smutku.

- Kupujemy kurtki?

- A kiedy wszyscy już macie ciepłe ciuchy? Wtedy co? Nie żebrzecie?

Ma ręce w kieszeniach. Wzrusza ramionami.

- Pieniądze są zawsze potrzebne. Kupujemy różne rzeczy. Czasami słodycze. Dawniej - farby dla Sjóll.

- Malowała?

- Nie mówiła ci? Przez całe lato. Chcesz zobaczyć jej obrazki?

## Rozdział 12

Thursen wyjmuje ze spróchniałego pnia, pustego w środku, sfatygowaną plastikową torbę z logo supermarketu, zwiniętą w ciasną paczuszkę. Spomiędzy zwojów plastiku wyciąga mały czerwony szkicownik. Wielkości pocztówki.

- Dlaczego nie nosiła go przy sobie? - dziwię się. Podaje mi notesik. - Przecież zmieściłby się jej w kieszeni.

Thursen się krzywi.

- I co, przemieniałby się z nią za każdym razem? Równie dobrze mogłaby sobie dać spokój z farbami.

No tak. Otwieram szkicownik. Malutka łódka z białym żaglem mknie po jeziorze.

Cudowne jasne obrazki. Kredka na papierze. Malutkie zielono-brązowe kaczkki. Króliki. Wiewiórki wśród gałęzi. I niemal zawsze - słońce.

Thursen zagłada mi przez ramię.

- Namalowała sobie własny świat. Nieprawdziwy. To jej marzenia - mówi.

Przeglądam dalej. Dom żółty jak słońce, błękitne okiennice, trawnik pełen stokrotek. Wyspa na niebieskim morzu. Brązowy koń na ukwieconej łące. Ale też ludzie. Las. Świat Sjóll. Nie wiem, co powiedzieć. A kiedy Thursen mówi:

- Popatrz, to ty - i pokazuje mi rysunek, na którym siedzę, skulona, w ciepłej kurtce, pod drzewem. Zaczynam płakać. Zawsze mi się zdawało, że za mną nie przepada.

A na tym rysunku wyglądamy na dobre przyjaciółki. Obok siebie, jakbyśmy znały się od lat. Jakbyśmy przed chwilą zwierzały się sobie z sekretów.

Oglądam dalej. Wszystkie rysunki są z oddali. Spojrzenia z lasu, spomiędzy drzew. Znad jeziora. Miniaturowi ludzie w obozie. Ludzie i wilki. Mężczyzna opiera się o drzewo i pali. Norrock? Sjóll zawsze trzyma się z daleka. Twarze są nierozpoznawalne.

Ostatnie rysunki są inne. Tylko szkice, ołówki na papierze. Wilcze pyski. Wyczekiwanie, wyszczerzone kły, błyszczące ślepie. Wilki na polowaniu. I uciekająca sarna.

- Nie tylko dziki? - pytam.

- Sjóll zawsze powtarzała, że od polowania na dziki sami zmienimy się w świnie - słyszę w odpowiedzi.

- Kochała polowanie. Sama mi o tym mówiła. - Wzdycham. - Piękne rysunki. Miała takie perspektywy! - Gdyby pożyła nieco dłużej....

Słyszę, jak Norrock kłóci się z Gabriellą na skraju lasu.

- Nie, nie chcę! - mówi z drzeniem w głosie. Uderza go piąstkami. Odbiega do lasu, kopie liście, które kręcą się wokół własnej osi jak pijane ptaki, zanim z powrotem opadną na ziemię. Norrock chwytają za ramię, szarpnięciem

sprowadza z powrotem. Kopie go. Sadza ją na pniu drzewa i podchodzi do Thursena i do mnie. Mała siedzi, ale groźnie wymachuje ręką.

- Posłuchaj, Luiso. - Norrock podchodzi do nas. - Nie spodoba ci się to, o co cię teraz poproszę.

- A o co? - pytam. Oddaję Thursenowi rysunki Sjóll. Starannie zawija je w folię.

Norrock przeczesuje włosy palcami.

- Zaraz musimy iść na polowanie. Energicznie kręcę głową.

- Nie! - O polowaniu nie chcę nawet słyszeć.

- Ej, chwila! - Norrock kopie gałązkę czubkiem buta. - Nie wiemy, co w tym czasie zrobić z Gabriellą. Nie może zostać sama.

Wbijam ręce w kieszenie kurtki.

- W takim razie jeden z was musi z nią zostać. Norrock przecząco kręci głową.

- Niemożliwe.

- Niech się przemieni w wilka i idzie z wami.

Kątem oka widzę, jak Gabriella wstaje. Wściekła, zaciska pięści, wbija je w kieszenie kurtki zupełnie jak ja przed chwilą.

- Norrock! - woła. Idzie w naszą stronę. Norrock odwraca się do niej.

- Thursen, załatw to - rzuca przez ramię. - Idę do Gabrielli.

- Z przemianą nie da rady - mówi Thursen.

- Przecież mówiłeś, że w nocy przeszła przemianę.

- Tylko raz, na krótko. To za mało na polowanie. - Podchodzi do dziupli, w którym przechowuje rysunki Sjóll.

Wzruszam ramionami. Przypomina mi się, jak Norrock chciał doprowadzić do mojej przemiany.

- Zabierzcie ją do kręgu! - wołam.

Thursen przygląda mi się przez chwilę. Zastanawia się. - Dobrze - mówi w końcu. - Ale ty też w nim zasiądziesz. Kiwam głową. Jeszcze tylko krąg. I wracam.

Jesienią noc zapada szybko. Księżyc zajmuje miejsce słońca. Thursen, w długim czarnym płaszczu, znowu jest przywódcą stada i w wilczej skórze odrzuca łeb do tyłu i zwołuje wilki do kręgu przeciągłym wyciem. A wilki odpowiadają, że wszystkich zakątków lasu dobiega ich zawołanie, są coraz bliżej, wynurzają się z zarośli, zajmują miejsca dokoła Thursena.

Na tle nocnego nieba jawią się jak szare cienie. Jerro i Rawuhn, Lurnak, Fath, Krestor. Siadają po kolei. Czekają. Norrock jest naprzeciwko mnie, przyciąga Gabriellę do siebie. Bierze ją za rękę. Drugą dłoń mała kładzie na karku Jerro. Norrock kiwa mi głową, wskazuje miejsce koło Rawuhna. Thursen wypełnia ostatnią lukę. Klęka. Jest koło mnie, bierze mnie za rękę. Wydaje się zmęczony. Teraz utrzymywanie ludzkiej postaci męczy go bardziej niż wielogodzinna wędrówka przez las. Daje znak i wilki zaczynają wyć. Powietrze



wibruje. Wszystkie dźwięki zlewają się w jeden. Wszystko staje się jednością. Zaczyna się przemiana. Norrock staje się wilkiem. Gabriella dygocze na moich oczach i nagle i ona siedzi w kręgu w wilczej skórze. Thursen jeszcze raz ściska moją dłoń i on także zmienia się w zwierzę. Nie chcąc przerywać kręgu, wbijam palce w jego sierść.

Jestem jedynym człowiekiem. Klęczę wśród suchych liści i zamykam oczy. Czuję siłę w dłoniach, w ramionach. Oddycham pełną piersią, pozwalam, by wypełniała mnie z każdym oddechem. Żeby płynęła przeze mnie, od Rawuhna do Thursena, żeby nie zostało we mnie nic, co umożliwiłoby mi przemianę. I zostaję sobą.

A potem, powoli, milknie ich pieśń. Otwieram oczy i widzę, jak Gabriella usiłuje pozostać w wilczej skórze - na darmo. Rozpaczliwie wyciąga rękę, jeszcze spowita czarnym cieniem, do Norrocka, ale zaraz jest po wszystkim i w kręgu znowu siedzi tylko mała przerażona dziewczynka w za dużej niebieskiej kurtce. Powoli ogarnia ją wilcza bladeść. Po jej policzkach spływają łzy.

Norrock odzyskuje ludzką postać, obejmuje ją i wyprowadza z kręgu. Siedzę dalej, poruszona. Thursen tymczasem także wraca do ludzkiej postaci.

- Sama widziałas - mówi cicho. - Nie da rady. Nie może jeszcze polować.  
- Kładzie mi rękę na ramieniu. - Proszę cię, Luiso, nie zostawiaj dzisiaj Gabrielli.

Wściekła, odtrącam jego rękę.

- Mam z nią zostać? A wy pójdziecie na polowanie i dacie się powystrzelać? I co, może jeszcze mam trzymać ją za rączkę, gdy nas poinformujesz o śmierci Norrocka? Albo on o twojej?

- Nic nam nie będzie - zapewnia. - Wiemy, kim jest myśliwy. Wiemy, jak się nazywa, wiemy, jaki ma samochód - wielki, zielony wóz terenowy. Zanim zaczniemy, sprawdzimy wszystkie parkingi.

- Niby jak? To wam zajmie pół nocy.

- Na czterech łapach poruszamy się szybciej niż na dwóch nogach. - Bierze mnie za rękę. - Zapolujemy, tylko jeśli wszystkie parkingi będą puste. Daję ci słowo.

- Boże, Thursen!

- Proszę cię, Luiso! - szepcze. - Proszę cię, nie bój się już. Wrócimy cali i zdrowi, obiecuję.

- Och, Thursen. - Obejmuję go. Wsuwam mu dłonie pod płaszcz, kładę głowę na ramieniu. Wolałabym być gdzieś daleko, tylko my dwoje, bez zmartwień i trosk. Obejmuje mnie, otula oboje płaszczem. Pochyla się, owiewa moje włosy wspomnieniem letniego ciepła.

Całujemy się przez tysiąc lat, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej, aż wszystko ma jego smak, a moja dusza jest go pełna.

I wtedy odchodzi. Czarny wilk prowadzi stado na polowanie.

Wilki znikają w ciemności, a ja zostaję w jamie i dygoczę ze strachu. Gabriella siedzi obok mnie i szlocha cicho. Norrock nie wiadomo skąd wyciągnął stary koc w kratę.

- Jakby wam było zimno - mruknął.

Wyprali go w jeziorze, wysuszyli na słońcu, i teraz możemy z Gabriellą się w niego wtulić.

- Powiesz mi, jak masz na imię? - zagaduję. Kulimy się razem pod kocem. To już ostatni raz, obiecuję sobie.

- Po co? - pyta. Wzrusza ramionami.

- Żebym je dla ciebie zapamiętała, kiedy ty już zapomnisz. - Mówię coraz głośniej, ale i tak wiem, że jej nie przekonam.

Zasypia przede mną, aż nagle budzi mnie koszmarny dźwięk. Zalewa mnie, upiorny, lodowaty. Krzyk, który chyba nigdy nie był ludzki. Rozpacz, którą za dnia tak skutecznie skrywa, teraz, podczas snu, dochodzi do głosu. Budzi i moją rozpacz. I tak do wilczej jamy zakrada się groza. Odwracam się do Gabrielli. Chcę ją przytulić, wyrwać ze świata koszmarów. Szarpnię ją, wywlekam z jamy na księżycową noc, na zimno. Otwiera oczy, ale nie widzi mnie. Wymachuje pięściami, chce mnie podrapać. Staram się skrępować jej ręce, ale z trudem mi się to udaje. Skąd ma tyle siły? I cały czas wrzeszczy. Wrzeszczy, aż dzwoni mi w uszach. Wrzeszczy i wrzeszczy, póki nie zjawi się Norrock.

Tylko Norrock.

- Thursen - szepczę. - Gdzie jest Thursen?

- Zaraz przyjdzie - odpowiada i obejmuje Gabriellę. Mała krzyczy coraz ciszej. Chwyta się go kurczowo.

Norrock tuli ją, aż oboje przechodzą przemianę. Gabriella oddycha głęboko. Już nie wrzeszczy, wzdycha cicho. Razem wchodzi do jamy. Norrock trąca ją pyskiem. Mała zwija się w kłębek, dygocze przez chwilę i zasypia. Norrock siedzi nieco dalej i czuwa. Czuwałby także nade mną, gdybym zdołała zasnąć.

Nie śpię, trzęsę się pod kocem, gdy w końcu wraca Thursen. Wrócił. Nikomu nic się nie stało. Staram się uspokoić oddech. Zanim wejdzie do jamy, zmienia się w człowieka.

- Żarcie na zewnątrz - mówi do Norrocka. Norrock przeciąga się, przybiera ludzką postać.

- Jest w jeszcze gorszym stanie niż Sjóll na początku - mówi i wskazuje głową zwiniętą w kłębek Gabriellę.

- Dobrze, że ją znalazłeś - mówi Thursen i klepie go po ramieniu.

- Tak jak ty mnie - odpowiada Norrock i wychodzi z jamy. Thursen podchodzi do mnie. Cicho, żeby nie obudzić

Gabrieli. Siada obok, obejmuje mnie ramieniem. Widzisz? Wszystko w porządku, zdają się mówić jego oczy. Przez wejście wpada promień księżycowego światła, w jego blasku widzę twarz Thursena. Zanim go pocałuję,

ścieram mu z kącika ust plamkę krwi. Czuję na jego wargach smak polowania. Jest słonawy. Nie taki straszny, jak myślałam. Więc taki jest ten mój wilkołak. To jego część. Ale jednocześnie jeszcze bardziej niż kiedykolwiek chcę, żeby na zawsze został człowiekiem. Wówczas nie musiałabym przeżywać tych stresów. Myślę o tym, gdy wplątam dłonie w jego sierść i zasypiam.

Thursen o świcie wychodzi z jamy. Dla mnie jest jeszcze za wcześnie, ale on nawet w wilczej postaci śpi niespokojnie. Nie chciał mnie obudzić, ale i tak unoszę powieki. Cichutko odwracam się na drugi bok. Nie idę za nim. Przecież obiecałam mu, że zostanę z Gabriellą. Mała budzi się i po chwili wraca do ludzkiej postaci. Zabawnie to wygląda, gdy wilczym zwyczajem chce wyprostować łapy, a zamiast nich ma nagłe ręce. Błede ręce w szarej kurtce. Patrzy na mnie pytająco, jakbym znała odpowiedzi.

- Jak masz na imię? - pytam i bardziej niż ona boję się jej odpowiedzi. Ma za sobą trzy przemiany.

Marszczy czoło w zadumie, wygląda na zewnątrz, w dal, jakby spodziewała się znaleźć tam odpowiedź, wyczytać swoje imię w ściółce.

- Zrrie - mówi w końcu. Pytająco. Rozkoszuje się tym dźwiękiem i już wiem. To nie imię, nikt się tak nie nazywa. To tylko słowo. Jej słowo, od dziś na zawsze. Nieważne, kiedy to zawsze się skończy.

Wypełzam z jamy. Błede późnojesienne słońce wisi na południowym skrawku nieba. Szadź pokrywa drzewa, po raz pierwszy w tym roku. Zimno daje mi się we znaki. Noc była niespokojna, sen płytki, przerywany. Czy to naprawdę już prawie południe? Nie śpię, ale słaniam się ze zmęczenia. Tu, w lesie, noc i dzień zlewają się w jedno. Człapię nad jezioro. Thursen myje się w lodowatej wodzie. Thursen w wilczej skórze, w ludzkim ciele zamarzęłby na śmierć. Otrzepuje się z wody, biegnie do mnie wielkimi susami, zmienia się tuż przy mnie. Przez chwilę myślałam, że chce mnie przeskoczyć, ale wtedy odzyskuje ludzką postać i uśmiecha się do mnie. Czuję, jak drzę w jego ramionach, ale tym razem to tylko zimno, nie strach. Głaszcz mnie wierzchem dłoni po policzku, ściąga z siebie płaszcz i chce mnie nim otulić, ale cofam się przerażona. Przypomina mi się krew na rękawie. Thursen uśmiecha się, widząc, gdzie patrzę. Po krwi nie ma śladu, tylko dziurka przypomina o jego ranie. Kiedy wreszcie przyzwyczaję się, że woda umyła nie tylko jego futro, ale i ciuchy?

Otulam się płaszczem, zakrywam nim kurtkę. Także koszula Thursena jest czysta. Ciemnoszara, wytarta przy mankietach na ramieniu nadal ziele mała dziurka, na to woda nie pomoże. Przysuwam się, chcę dokładnie obejrzeć ranę. Minęło dopiero kilka dni. A jeśli wdało się zapalenie? Bolało go tak bardzo, że nie mógł posługiwać się lewą ręką. Dotykam jego lewego ramienia i ostrożnie rozsuwam materiał. I widzę tylko ciemniejszą plamkę. Gdzie rana? To nie tu?

- Ściągnij - mówię i wskazuję koszulę.

- Daj spokój. - Odwraca się na pięcie. Łapię go za poły koszuli.

- Zdawało mi się, że nie marzniesz? Uśmiecha się.

- Ależ owszem, tylko nie tak jak ty.

- Więc o co chodzi? Wstydzisz się?

Z westchnieniem ściąga koszulę przez głowę. Przez chwilę mogę tylko na niego patrzeć. Błądzą wzrokiem po jego mięśniach. Jest tak blady, że wydaje się nierzeczywisty, ale kiedy dotykam go opuszkami palców, czuję, że istnieje naprawdę. Dotykam jego piersi, muskam obojczyk, do barku. Gdzie teraz? Łapię go za ramię, odwracam. Podłużna plamka, to wszystko. Nietknięta skóra tam, gdzie powinna być rana!

Pokrywa się gęsią skórą, krzyżuje ręce na piersi.

- Skończyłaś już? - pyta, szcękając zębami.

- Ale... - Nie wiem, co powiedzieć. To niemożliwe! Niemożliwe!

- Mogę się ubrać?

Kiwam głową, choć chętnie popatrzyłabym na niego jeszcze dłużej. Patrzyłabym i dotykała. Jest taki piękny. Włożył koszulę. Oddaje mi płaszcz.

- Już ci nie zimno? - pyta.

- Przejdźmy się lepiej - odpowiadam. - Wtedy obojgu nam będzie cieplej.

Idziemy na spacer. Ale nie do drzewa Sjóll, Thursen wybiera inny kierunek. Wiewiórka śmiga nam nad głowami wśród gałęzi. Kruki nawołują się głośno, zagłuszają szelest ściółki pod nogami. Przez pewien czas idziemy w milczeniu. Rozkoszuję się tym, że objął mnie ramieniem. Że przyciągnął mnie do siebie. Z każdym krokiem czuję, jak ogarnia mnie ciepło.

W końcu zadaję pytanie, na które Thursen czeka cały czas:

- Co się stało z raną?

Puszcza mnie, pochyla się, podnosi patyk, uderza nim w mijane pnie. Suche trzaski przypominają wystrzały.

- Zagoiła się.

- Tak szybko?

- Rany wilkołaków goją się szybko - odpowiada i obraca kijem jak zongler na jarmarku. - W każdym razie rany ciała - dodaje cicho.

- Kości się nie zrastają?

- Miałem na myśli rany duszy. Te zostają. Co prawda nie dokuczają tak bardzo, ale nie goją się. Och, sam już nie wiem. - Ciska kij daleko, wysoko, aż zahacza o liście. - Chodźmy, zjedzmy coś.

Chyba nie mówi poważnie?

- Dzięki, surowe mięso pozostawiam tobie. - Na samą myśl robi mi się niedobrze.

- A pieczone? Rozpalimy ognisko. - Wiesie?

Zdążył już podnieść kilka gałązek.

- Luiso, nie po raz pierwszy to zrobimy.

- Pochylam się i zbieram chrust.

Wracamy do obozu z naręczami chrustu. Thursen szykuje ognisko. Potrzebujemy więcej drewna, więc idziemy jeszcze raz. Stopniowo przekonuję się do pomysłu ogniska. Pomarańczowe płomienie, które rozbroją zimno. Ale

niełatwo jest zebrać dość chrustu. Niemal wszystkie gałązki są wilgotne pokrywa je zielonkawy, lepki mech. Wpełzamy pod niskie świerki, wyciągamy gałęzie spod krzewów.

Wilki nie na wiele się przydają. Jerro usiłuje uciec z jednym z konarów, ale groźne spojrzenie Thursena wystarczy, by go zostawił. Rawuhn przyciąga gałąź, którą Thursen dokłada do stosu i podsypuje suche liście z jamy. Siada koło okrągłej konstrukcji. Stoję bezradnie. - I co teraz? Uśmiecha się.

- Zapalki!

Jak na dany znak Norrock wychodzi z lasu, kuca koło Thursena i wyjmuje z kieszeni pudełko zapalek. Podaje je Thursenowi, który zapala jedną i przykłada do suchych liści. Zajmują się i po chwili czują zapach dymu.

- Skąd je macie? - pytam. Norrock, rozbawiony, unosi brew.

- Można je kupić w sklepie, wiesz? Wy tłumaczyć ci, jak to się robi? Już w przedszkolu chodziłaś na wagary?

Ogarnia mnie złość. Mam ochotę przeszyć go spojrzeniem, kopnąć czubkiem buta, niestety tępym, ale tylko odwracam się plecami. Kątem oka widzę, jak przysuwa się do Thursena. Bardzo blisko.

- Wiem, gdzie i kiedy - szepcze. Myśli, że tego nie słyszę, bo szuram liśćmi pod nogami, aż wzbijają się w powietrze jak przerażone ptaki.

- Tak? - Thursen dmucha na płomyk.

- Newada, na Blucher Strasse. Chyba będzie dobrze, jeśli będziemy na parkingu koło północy.

Thursen ledwie dostrzegalnie kiwa głową i ostrożnie dorzuca gałązki do jęczyczków ognia.

Norrock zauważył Zrrie, która wróciła znad jeziora. Podchodzi do niej.

- Cześć - woła i mierzwi jej wilgotne włosy. - Lepiej?

Pieczemy kawałki mięsa, nabite na długie patyki. Norrock wyjmuje z kieszeni torebkę z solą, puszcza w obieg. Nie pieczemy dużo, tylko dla czterech osób - dla Thursena, Norrocka, Zrrie i dla mnie. Karr nadal woli wilczą postać. Lurnak, Fath, Jerro, Krestor i Rawuhn siedzą koło nas, grzeją się w ciepłe ognia, ale wolą surowe mięso.

Po posiłku Thursen pozwala, by ognisko się wypaliło. Gasną, gdy już dawno zapadł zmrok. Karr zasypuje palenisko wilgotną ziemią. Nadal w wilczej skórze. Dzisiaj po raz pierwszy coś zjadł. Może powoli wraca do życia. Jerro i Krestor walczą o patyk, powarkując cicho. Rawuhn towarzyszy Thursenowi, gdy ten zbiera patyki, na których piekliśmy mięso. Wtedy Norrock przynosi słoik ze świeczką. Zapaloną po raz pierwszy od śmierci Sjóll.

- Dlaczego ją zapaliłeś? - pytam.

- To lampka Sjóll - odpowiada i gasi zapalkę, i niemal uroczyście stawia prymitywną lampkę na pniu.

- Nagle mamy światło? Dlaczego nie paliliście jej przedtem?

Krzywi się ironicznie.

- Bo nie mieliśmy zapalek. - Nie odrywa wzroku od płomyka.

Bardzo zabawne! Wydawało mi się, że bez problemu można je zdobyć?

- Thursen? - pytam.

Przyglądał się Norrockowi z patykami w dłoniach. Gdy zwróciłam się do niego, odwraca się i patrzy na mnie, jakbym wyrwała go ze snu. Oddycha ciężko, kładzie mi rękę na ramieniu.

- Musimy iść, Luiso - mówi.

- My?

- My, wilki. - Opiera patyki o pień i podchodzi do mnie.

- Chyba nie na polowanie?

Omiata wzrokiem obóz. Znam to spojrzenie, ten wzrok samca alfa. Po chwili wraca do mnie spojrzeniem. Z uśmiechem zaprzecza ruchem głowy.

- Nie, nie na polowanie. Nie bój się.

- To dokąd?

Wyjmuje mi z włosów suchą gałązkę, łamie ją w palcach.

- No cóż. Pobiegać. Musimy zobaczyć, wywęszyć, co się dzieje. - Widzi pytanie na mojej twarzy. - Przepraszam, jestem zmęczony. Później ci wytłumaczę. Poczekaj tu na nas z małą, dobrze? - Kładzie mi rękę na pliczku, patrzy w oczy. - Proszę.

- Skoro to takie ważne.

- Tak - odpowiada. - To ważne. Odwraca się do wilków, wymienia z nimi spojrzenia, których nie rozumiem, kiwa głową. Patrzy na Norrocka, który ciągle siedzi zapatrzony w żółty płomyk świeczki.

- Norrock?

- Tak - odpowiada pomrukiem. Wstaje, przeciera twarz dłońmi, a Thursen na czele pozostałych wilków idzie do lasu. - Uważaj na Zrrie i pilnuj, żeby świeca Sjóll nie zgasła, dobrze? - mówi do mnie Norrock i rusza z Thursenem. Jeszcze z lasu woła: - Nie dotykajcie świeczki! - A potem i on przechodzi przemianę, staje się wielkim czarnym wilkiem, który podczas naszego pierwszego spotkania ugryzł mnie w nogę. I znika wśród drzew.

A ja znowu zostaję w roli opiekunki małej.

Czego oni właściwie ode mnie oczekują, Thursen i Norrock? Mam ją ściągnąć z drzewa jak Norrock, gdyby znowu chciała się wieszać? Mam ją gonić, gdyby zmieniła się w wilka i pognała w las?

Patrzę na nią. To już nie Gabriella, to Zrrie. Bledziutka, jakby zmyły się kolory; nawet jej włosy są inne.

- Wiesz, dokąd poszli? - Pytam. Tłumię ziewnięcie. Ciągle jestem zmęczona. Przez cały dzień.

- Nie. - Siada na ziemi, opiera się o pień i patrzy w płomyk świeczki, jakby siłą woli nie chciała dopuścić, by zgasł. A to przecież niepotrzebne. Płomyk pali się równo.

Powinnam wracać do domu.

- Nie, Luiso, musisz tu zostać!

- Jezu, Zrrie! Spędziłam całą noc poza domem. Moja mama wpadnie w szal, jeśli wkrótce się nie pokażę!

W końcu patrzy na mnie.

- Ale przed północą nie pójdziesz, prawda? Chwileczkę. Północ? Północ, Newada? Gdybym nie była tak zmęczona, skojarzyłabym szybciej.

- Kto tu właściwie kogo pilnuje?

- Norrock i Thursen powiedzieli, że mam dopilnować, żebyś tu została.

- Ale dlaczego?

Bawi się suwakiem kurtki, podciąga go i opuszcza.

- Po prostu nie chcieli, żebyś z nimi poszła. Bo to może być niebezpieczne.

- Niebezpieczne? Znowu ryzykują?

- Oni nie - odpowiada. - Au! Skaleczyła się suwakiem.

- Więc?

Zrrie ssie bolący palec.

- Chyba chodziło im o to, że mogłoby to być niebezpieczne dla ciebie. Przecież nie jesteś wilkołakiem. Ani razu nie przeszedłaś przemiany. Nie wiesz, jak to jest.

- Zrrie, co się wydarzy dzisiaj o północy w Newadzie? - Podchodzę do pnia, podnoszę lampkę. - I o co chodzi z tą świecą?

Zrrie z przerażeniem podnosi rękę.

- Nie gaś!

- Dobrze, już dobrze. - Zdenerwowana, odstawiam lampkę Sjóll. Wosk spływa na szkło, pokrywa je białymi smugami.

- Posłuchaj, Zrrie, ty popilnujesz świecy... Ja muszę iść.

- Luisa! - woła za mną.

Spieszy mi się. Nie mam czasu, żeby na nią spojrzeć.

- Luisa! Kazali mi zostać, żebym dopilnowała, że nie spotkasz się z nimi!

Nie chcę się z nimi spotykać, nie chcę zdradzić Zrrie. Chcę tylko być przy tym, gdy Thursen stanie oko w oko z niebezpieczeństwem. Jakby mój wzrok miał go uchronić.

Już po kilku krokach moje oczy przyzwyczajają się do ciemności. Księżyc kryje się za chmurami. Oświetli mi drogę? A może to sprzymierzeniec wilków? Może chce je uprzedzić? Biegnę za szybko, zdyszana wpadam na jaskrawo oświetlony dworzec. Ani żywego ducha. Niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę. Zacieram ręce z zimna. Dlaczego w nocy S-Bahn jeździ tak rzadko? Dlaczego dwadzieścia minut ciągnie się w nieskończoność? Jest zimno, ale mam dość czasu, by spojrzeć na plan miasta.

W końcu przyjeżdża pociąg. Przesiadam się tysiące razy, aż w końcu jestem na miejscu. Wielka szara bryła widoczna w mdłym świetle latarni. Jeszcze nie śpi. Nad drzwiami miga napis: „Newada”. W trzech oknach płonie światło i widzę godzinę na zegarze na odrapanej fasadzie. Czas ucieka. Czego wilki tu szukają?

Mam właśnie zamiar przejść po lewej stronie na parking, gdy w drzwiach staje starsze małżeństwo. Mężczyzna opowiada coś skrzekliwie jak mewa, gestykuje, robi miny, aż kołyszają się białe wąsy. Ona trzyma go pod rękę i śmieje się, kiedy trzeba. Nagle chyba czują na sobie mój wzrok bo patrzą na mnie. Widzę, że kobieta ma na końcu języka pytanie, co tu robię, wiem, że nie chcę odpowiadać. Uciekam wzrokiem i schodzę im z drogi. W gablocie przy drzwiach wisi program dzisiejszej imprezy. Wykład i prezentacja na temat sarny w niemieckich lasach. Na plakacie widnieje mężczyzna, myśliwy, i młody jelonek. Udaję, że z zainteresowaniem czytam informacje na plakacie. Nie zagadują mnie. Umiem stać się niewidzialna. Odchodzą. Zegar wskazuje dwudziestą trzecią czterdzieści pięć.

Parking za budynkiem wydaje się opuszczony. Światła latarni wyluskują z mroku ostatnie zapomniane samochody. Kryję się w mroku, opieram o ścianę i słucham. Po ulicy przejeżdżają samochody. Między nimi - cisza. Tak absolutna, że niemal słyszę bicie mojego serca. Wierzchem dłoni wycieram nos. Otacza mnie szary zapach - uliczny brud, spaliny, olej grzewczy. Co stado Thursena robi tu w środku nocy?

I wtedy widzę. Samochód pośrodku parkingu. Zielone, masywne auto, wóz terenowy. Dokładnie tak opisał Thursen pojazd myśliwego. Więc to on miał tu dziś wykład. Morderca Sjóll był tutaj. Nieważne, co się stanie, Thursena nie dorwie.

Odpycham się od szorstkiego, zimnego muru i szukam odpowiedniej kryjówki. Kucam za białym poło.

Jeszcze kilka uderzeń serca, kilka oddechów i słyszę wilkołaki.



